

Jędrzej Giertych

WSPOMNIENIA OCHOTNIKA

1920 roku

1958
Paryż
Odbitka z „Horyzontów”

Dawne to już dzieje. W tym roku mija 38 lat. Blisko 40. Tyle mniej więcej, ile dzieli datę mojego urodzenia od powstania styczniowego.

Wojna dwudziestego roku to dla mnie wspomnienie tak żywe, jak wczoraj. A przecież dla dzisiejszej dziatwy to fakt równie daleki, jak dla mnie powstanie styczniowe: legenda znana z opowiadań starców. Może i ci starcy, co mi o powstaniu opowiadali, nie byli jeszcze takimi starcami? Bo ja się zgoła starcem nie czuję i w razie potrzeby gotów jestem pójść na trzecią w życiu wojnę.

Istnieje dziwna ciągłość między pokoleniami. Każda generacja zna swoje własne dzieje z osobistego doświadczenia i dzieje pokolenia poprzedniego – z opowiadań. Żywa tradycja, z pokolenia na pokolenie, spina w jedną całość historię narodu.

Moje dzieci znają moje wspomnienia z 1920 roku z moich opowiadań, ale wspomnień tych dotąd nie opisałem. Spisałem je wprawdzie w grubym zeszycie zaraz jesienią 1920 roku, ale nie pamiętam, co się z tym zeszytem stało; nie zaglądałem potem do niego. Myślę, że spalił się wraz z moim mieszkaniem, biblioteką i papierami w powstaniu warszawskim. Jakoś jednak przyszła mi teraz ochota, by te wspomnienia utrwalić na papierze. Nie w ten sposób, jak to zrobiłem przed laty; na pół dziecinnie, dzień po dniu. Opisać tak, jak je pamiętam jako człowiek dorosły.

Oto te wspomnienia.

I. WSTĄPIENIE DO WOJSKA

W okresie inwazji bolszewickiej miałem lat siedemnaście i pół. Inwazja wypadła na okres moich wakacji między siódmą i ósmą klasą.

Od jesieni 1919 roku mieszkałem w Warszawie i tam chodziłem do siódmej klasy gimnazjum, ale inwazja nie zastała mnie w mieście. Jako harcerz wybrałem się z grupą kolegów na wycieczkę po pół roku przedtem odzyskanym przez Polskę Pomorzu. Zwiedzaliśmy najpierw serię miast pomorskich, jeżdżąc od jednego do drugiego koleją, a potem ruszyliśmy pieszym marszem przez Pojezierze Kaszubskie ku wybrzeżu i potem

wzdłuż wybrzeża ku samej północy. Gazet w drodze prawie nie czytaliśmy. Ludzie mówili nam o walącym się na Polskę najeździe, ale puszczałyśmy to mimo uszu.

Mieliśmy potem wsiąść udział w jakiejś pracy pomocniczej w Ziemi Malborskiej w zamku z mającym się tam w dniu 11 lipca odbyć plebiscytem. Odbyliśmy w tym celu, jeszcze w czasie roku szkolnego, specjalny kurs wieczorowy w Warszawie. Na terenie plebiscytowym mieliśmy być tylko przez kilka dni, w najgorszym okresie kampanii przedwyborczej.

W wyznaczonym tam Terminie zjawialiśmy się w Tczewie, skąd miano nas skierować na miejsce. Powiedziano nam tam jednak, że nie będzie potrzeby. Wobec ogłoszenia przez rząd polski, że Polska prawomocności plebiscytu nie uznaje, polska kampania plebiscytowa zostaje zredukowana do minimum i szereg poczynań przed plebiscytowych ulega likwidacji.

Czekaliśmy w Tczewie kilka dni na ewentualne dalsze zlecenia, a potem – bodaj nazajutrz po plebiscycie – rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.

Ja wróciłem do Warszawy.

Dopiero w Warszawie zdałem sobie w całej pełni sprawę z tego, jaka jest sytuacja wojenna.

Na murach w Warszawie rozklejony był wielki kolorowy afisz o bardzo sugestywnym rysunku. Przedstawiał on cienki mur na który napiera wielki tłum białych mar, jakby falanga trupów, i usiłuje go przewrócić, a dopiero go od wewnątrz z wysiłkiem dwóch żołnierzy w polskich mundurach. Napis na afiszy brzmiał: „Na front! Wszystko dla frontu! Wszyscy na front!”.

Rząd ogłosił wezwanie do ludności męskiej, wzywając do natychmiastowego, zgłaszania się na ochotnika w szeregi wojska. Wezwanie to zostało przez ludność zrozumiane. Kto żyw, zgłaszał się do szeregów. Biura werbunkowe w postaci stolików, przy których można się było zapisać, stały na rogach ulic. W całym mieście odbywały się wiece i zebrania, na których generał Józef Haller, powołany na komendanta tworzącej się Armii Ochotniczej, przemawiał, wzywając do zgłaszania się. Byłem na takim zebraniu, złożonym z harcerzy, zwołanym przez Naczelnictwo harcerskie na podwórzu domu, w którym miało ono swoją siedzibę. Było to zebranie krótkie. Przemawiał któryś z działaczy harcerskich, a potem przyjechał na chwilę generał Haller i też do zgromadzonych w kilku słowach przemówił.

Było rzeczą jasną, że trzeba wstąpić do wojska.

Oświadczyłem to matce i matka zgodziła się w tym ze mną. Nie chciała jednak decydować bez ojca. Prosiła mnie, bym ze zgłoszeniem się do wojska zaczekał kilka dni, bo ojciec wyjechał za interesami na prowincję i za kilka dni wróci.

Czekałem więc kilka dni, coraz więcej się niecierpliwiąc. Widziałem, jak potężniał w Warszawie – i z pewnością w całym kraju – nastrój determinacji stawienia najazdowi skutecznego odporu.

Któregoś dnia, niespodziewanie, zjawił się w naszym mieszkaniu wieczorem mój stryjeczny brat, Jerzy Giertych, nie mający jeszcze lat szesnastu harcerz i uczeń gimnazjalny z miasteczka Gostynina. Ubrany był w mundur harcerski. Powiedział nam, że zgłosił się do wojska wraz z grupą harcerzy gostynińskich i grupa ta przyjechała dzisiaj do Warszawy i umieszczona została w koszarach w Cytadeli. Pozwolono im wieczorem wyjść na kilka godzin do miasta. Nie wydano im żadnych przepustek; przy bramie cytadeli mieli się legitymować tylko legitymacjami harcerskimi.

Doszedłem do wniosku, że dłużej zwlekać z wstąpieniem do wojska nie mogę i powiedziałem to matce. Matka przyznała mi rację.

Były wakacje i nie miałem kontaktu ze swoją drużyną harcerską i ze swoją szkołą. Zresztą, mieszałem w Warszawie dopiero od roku i nie byłem ze swoim środowiskiem szczególnie zżyty. Uznałem, że najlepiej zrobię, idąc do wojska nie wraz z moimi własnymi kolegami, lecz z kuzynem Jerzym i jego grupą.

Przebrałem się w mundur harcerski, spakowałem plecak, przytroczyłem do niego dwa koce i po kolacji pożegnałem się z matką i wyszedłem z domu wraz z Jerzym.

Pojechaliśmy do Cytadeli tramwajem. Był już dość późny wieczór, ale godzina nakazanego Jerzemu powrotu nie była jeszcze przekroczona. Tramwaj - i inne jadące ku Cytadeli tramwaje – pełne były harcerzy z mazowieckich i kujawskich miasteczek, którzy wszyscy teraz przebywali jako ochotnicy w Cytadeli i korzystali w tym samym czasie z prawa wyjścia na miasto.

Wchodząc do cytadeli po prostu okazałem w bramie moją legitymację harcerską. Nikt się mnie o nic więcej nie pytał.

Pierwszy raz w życiu przekraczałem mury cytadeli, jeszcze przed kilku laty groźnego ośrodka zaborczej władzy nad Polską, najpierw rosyjskiej, a ostatnio niemieckiej. Byłem zdziwiony, widząc, że to jakby całe miasto, złożone z ulic, zieleńców, szeregu bloków koszarowych. Cicho było w tym mieście, tylko liczne, młode kroki dudniły po bruku.

Jerzy prowadził mnie do bloku, w którym umieszczono harcerzy gostynińskich.

Budynek był mroczny, ponury i ciemny. Pachniało w nim wilgocią.

Weszliśmy po obszernych, ciemnych schodach na piętro. Z długiego korytarza drzwi wiodły do ogromnej sali, z której ścian sypał się tynk. Nie było w niej żadnych mebli, tylko na ziemi leżały w kilku szeregach liczne sienniki.

Jerzy wskazał mi pusty siennik obok siebie. Bez słowa zdjąłem plecak, położyłem go sobie pod głowę, położyłem się na sienniku sam i nakryłem się przyniesionymi ze sobą kocami.

II. WYSZKOLENIE WOJSKOWE

Nazajutrz Jerzy zapoznał mnie ze swoimi kolegami. Uradziliśmy, że nie będę nic mówił, iż jestem nowym przybyszem. Dla uniknięcia komplikacji będę uważany za jednego z harcerzy, przybyłych z Gostynina.

Po pobudce i umyciu się ustawiliśmy się na zbiórce na korytarzu. Podoficer w mundurze sprawdził listę obecności. Nie było nikogo brak.

- A nie pominąłem nikogo? Kto nie wyczytany, wystąp.

Wystąpiłem przed front.

- Jak się nazywacie?

- Jędrzej Giertych.

- Dyć was czytałem.

- To był Jerzy. Mnie na imię Jędrzej.

- Jak? Nie Jerzy tylko Jędrzej?

- Tak jest.

Podoficer coś poprawił na liście. Okazało się później, że po prostu przekreślił „Jerzy”, a napisał „Jędrzej”. Na następnej zbiórce wyczytał mnie, a nie wyczytał Jerzego. Tym razem Jerzy wystąpił.

- Dyć was czytałem.

- To był Jędrzej, a ja jestem Jerzy.

- Dyć was poprawiłem z Jerzego na Jędrzej. Takeście mówili.

- Kiedy nas jest dwóch.

- A... To tak mówcie. Bracia?

- Stryjeczni.

Tak więc w ten sposób dostałem się do wojska bez żadnych formalności.

Nie pamiętam, co to był za dzień. Chodzi mi po głowie data 19. lipca jako data wstąpienia do wojska i data 25. Lipca jako data wyjazdu na front, ale może się myłę.

Przydzielono nas do 201 pułku piechoty. To nie znaczy, że Polska miała wtedy z górą dwieście pułków. Po prostu nowe pułki organizowały się w oparciu o kadrę pułków starych. 1 – szy pułk piechoty, mający kadrę w Jabłonie, ale mający jakieś związki i z Cytadelą warszawską, wyłonił z siebie 101. pułk rezerwowy i 201. pułk ochotniczy.

Znaleźliśmy się w drugim batalionie, w siódmej kompanii. Pułk składał się z trzech batalionów, każdy batalion z czterech kompanii, było więc w pułku 12 kompanii. Ponadto były kompanie karabinów maszynowych, nie pamiętam ile.

Był to pułk zupełnie nowy. Dosłownie przed kilku dniami nie istniał nawet w projekcie.

Kompania nasza składała się w połowie z harcerzy, a w połowie z ochotników, zwerbowanych na robotniczych przedmieściach Warszawy. Umyślnie przemieszano w pułku różne elementy, zawsze jednak z durzą przymieszką harcerzy, jako żywiołu stanowiącego pewnego rodzaju rdzeń, bo mającego trochę zaprawy, dyscypliny i wyćwiczenia. Nie było potrzeby mieszać elementów ze względu na ducha: duch był wśród wszystkich żywiołów jednakowo wspaniały.

Harcerze w naszej kompanii pochodzili w mniejszości z Gostynina, a w większości z Łowicza. Jakoś więcej żyłem się z łowiczakami, niż z gostyniakami. Byli to przeważnie uczniowie gimnazjum lub seminarium nauczycielskiego w Łowiczu. Nosili czapki uczniowskie, popielate rogiatki z barwnym paskiem łowickiego samodzią. Byli to bardzo dzielni chłopcy. Przeważnie chłopcy synowie, silni, zdrowi, wytrzymali na trudy, weseli i pogodni, a ożywieni gorącym duchem patriotycznym. Byli między nimi nawet chłopcy czternastoletni, większość była mniej więcej w moim wieku, dwóch czy czterech było dużo starszych, w wieku koło dwudziestki.

Ochotnicy „z miasta” pochodzili przeważnie z Powiśla. Większość – to była młodzież. Ale było między nimi też trochę ludzi w średnim wieku, łysych i z brzuskami. Byli to robociarze lub rzemieślnicy. Bardzo chętni i pełni zapału, choć trochę niezaradni. Dużo bardziej niezaradni od nas, harcerzy, zwłaszcza ci w średnim wieku. Ale fizycznie wytrzymali i odważni. Żyłem się bliżej z jednym z powiślaków nazwiskiem Idzik. Był to pomocnik rzeźnicki, mój rówieśnik, - typ „łobuza z Powiśla”. Mówił przedziwnie soczystym językiem; prawdziwą gwarą warszawskiego plebsu, nie taką, jaką wymyślił później Wiech, zupełnie sztuczną, usianą rusycyzmami zupełnie w Warszawie nie znanymi i błędów językowych wyspanych z palca, ale taką, jaką łobuzy z warszawskich przedmieść mówią rzeczywiście. Mowa jego była pełna soczystych porównań i swoistego, drwiącego humoru. Ciągłe się zaklinał: „jak pragnę boga”, „jak pragnę szczęścia”, „jak pragnę radości”, „jak pragnę miłości”. Właściwie nie mówił: „szczęścia” tylko: „ścieścia” i dźwięki „sz”, „cz”, i „z” wymawiał w sposób silnie zmiękczone, prawie jak „ś”, „ć”, i „ź”. O ile pamiętam, był analfabetą. Ciągłe się z kimś kłócił i wszczynał zajścia, w gruncie rzeczy był jednak bardzo poczciwy.

Mówiliśmy wszyscy wzajemnie do siebie „wy”, tylko ci, którzy znali się najbliżej, z reguły z czasów przedwojennych, mówili do siebie „ty”. Do kolegów starszych wiekiem mówiliśmy „pan”.

Na początek kazano nam, harcerzom, uczyć musztry tych spośród naszych kolegów, którzy musztry nie umieli. Ponieważ byłem wysokiego wzrostu i robiłem wrażenie dość dorosłe i ponieważ byłem dawnym wice drużynowym, więc polecono mi ćwiczyć grupę kilkunastu starszych robociarzy, ludzi wąsatych, częściowo łysych i brzuchatych. Ja byłem ubrany po harcersku, oni byli w granatowych maciejówkach, w cywilnych ubraniach, bez

kamizelek, bo lato było gorące, z rozpiętymi pod szyją koszulami. Byłem wobec nich ogromnie onieśmielony. Ale starałem się ich nauczyć tego, co sam umiałem: postawy „bacność”, „spocznij”, zwrotów w lewo, w prawo i w tył, „czwórki w prawo zwrot”, „dwuszereg w lewo front”, dalej: „marsz” i „biegiem marsz”, oraz „oddział stój”. Niczego tego nie umieli, ale bardzo gorliwie i chętnie starali się tego nauczyć.

Stopniowo krystalizowaliśmy się coraz więcej jako wojsko. Wyfasowano nam kurty wojskowe, spodnie, płaszcze, owijacze, bardzo dobre, wygodne, podkute trzewiki, parciane chlebaki, parciane pasy z licznymi kieszeniami do amunicji karabinowej. Pasy te były amerykańskie, pochodzące z amerykańskiego demobilu; wszystko pozostałe było wyrobu polskiego, wytwarzanego przez polski przemysł, będące dowodem, że Polska, istniejąca jako państwo od 21 miesięcy, dużo już zaiste osiągnęła na polu organizacji wewnętrznej swego życia. Tylko czapek dla nas zabrakło; nie zostały nam dostarczone w chwili naszego wyjazdu na front. Niektórzy kupili sobie czapki lub pierożki wojskowe na mieście, lub zdążyli dać je uszyć – z bardzo różnorodnych materiałów – swym rodzinom, bardzo wielu było w czapkach harcerskich lub gimnazjalnych, robociarze byli w granatowych maciejówkach lub cyklistówkach, inteligenci w najrozmaitszych nakryciach głowy typu sportowego, a byli i tacy, co wyruszyli na front – w melonikach.

Pewną jednolitość dawało wyglądowi naszych głów to, że wszyscy przypięliśmy do naszych nakryć głowy białe – czerwone rozety ochotnicze. Proszę sobie wyobrazić, jak dziarsko wyglądał żołnierz w pełnym mundurze oraz w meloniku z białe – czerwoną kokardą!

Zaczęliśmy się zrastać w większe formacje: plutony, kompanie i bataliony. Poznaliśmy przydzielonych nam oficerów. W kompanii naszej dwa plutony miały dowódców podporuczników, trzeci pluton – podoficera, plutonowego, zresztą studenta politechniki. Dowódcą naszego plutonu był bardzo przystojny i elegancki oficer, chyba dwudziestoletni, może najwyżej dwudziesto – dwuletni, podporucznik Gozdek. Dowódca kompanii był wąsaty porucznik w wieku chyba jakichś lat 35 do 40. którego nazwiska nie pamiętam. Był to dowórczyk i pochodził z Ziemi Wschodnich. Było w nim coś zamasyście wiejskiego; był to zdaje się jakiś ziemianin, czy też może leśniczy lub rządca. Przydzielono mu konia i prowadził nas później konno. Mieliśmy sposobność podziwiać, jak znakomicie konno jeździł. – Dowódcą batalionu był porucznik Wądołkowski. Także widywałem go siedzącego na koniu. Był to człowiek dość młody. Nosił okulary, był szczupły, o suchej dość mizernej twarzy i robił wrażenie intelektualisty od biurka, ale okazał się później bardzo dzielnym oficerem. W wiele lat później poznałem jego brata, zawodowego oficera, komendanta chorągwi harcerskiej w Warszawie. Dowódcy naszego pułku nigdy nie widziałem i nie wiedziałem, ani nie wiem po dziś dzień jak się nazywał.

Nie potrzebowałem już ćwiczyć moich kolegów robociarzy, bo zaczęto nas ćwiczyć kompaniami. Uczono nas musztry, - dużo w tym było „padnij”, „powstań” i „biegiem marsz” oraz rozsypywania się w tyraliery, zbierania się na nowo i rozsypywania znowu.

Mówi się, że poszliśmy na front bez żadnego wyszkolenia. Otóż to nie jest całkiem ściśle. Wyszkołenie nasze było bardzo krótkie, ale nauczyło nas rzeczy bardzo istotnej, mianowicie musztry. Musztra jest podstawą wyszkolenia żołnierskiego, bo uczy dyscypliny, uczy natychmiastowego wykonywania rozkazów i sprawia, że dowódca oddziału umiejącego musztrę ma ten oddział w garści. Dzięki temu nie byliśmy już tłumem, ale siłą zorganizowaną. W normalnych warunkach trzeba bardzo długiego czasu, by sformować całkiem nowy pułk. Otóż nasz pułk został sformowany dosłownie w ciągu kilku dni. Od mojego zjawienia się w koszarach do wyjazdu na front upłynęło mniej niż tydzień, a koledzy moi byli w koszarach z reguły tylko po jeden lub dwa dni dłużej niż ja. Przecież wydawanie mundurów i bron i zajęło bardzo dużo czasu, a cóż tu mówić o owej nauce musztry! Nie wiem, rzecz jasna, ile zajęły wcześniejsze przygotowania sztabowe, nie mogły one jednak trwać długo. Myślę, że cały sekret szybkości organizacji naszego pułku polegał na tym, że

musiano wszystko załatwić „na oko”, wydać broń, odzież i obuwie bez liczenia, bez zapisywania i bez żadnej biurokracji.

Z natury rzeczy, czy to stojąc w ogonka po mundury czy broń, lub po żywność, lub czekając na rozpoczęcie musztry, lub rozchodząc się po skończonej musztrze do naszych bloków mieszkalnych, mieliśmy sporo czasu na rozmowy. Masę odnalazłem w Cytadeli znajomych. Miedzy innymi spotkałem w naszej własnej kompanii dawnego kolegę z harcerstwa i z tej samej klasy z gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej przy Litiejnym Prospekcie w rewolucyjnym Petersburgu, późniejszego lekarza, Julka Tomaszewskiego. Dzieliłem z nim później wiele przygód i przeżyć na froncie Spotkałem także wielu moich ziomków, - kielczan.

W innej Kompanii naszego batalionu był Zygmunt Lisiewicz, trochę starszy ode mnie, z którym kolegowaliśmy się w gimnazjum w Kielcach w roku szkolnym 1918/19 i który był w owym czasie drużynowym w tej samej drużynie harcerskiej, w której ja byłem zastępcą. Mimo, że w różnych kompaniach, ciągle spotykaliśmy się potem na froncie. Był to bardzo dzielny i energiczny, nad wiek rozwinięty chłopak. W kompanii swojej szybko zdobył sobie stanowisko podoficerskie i odgrywał w niej wybitną rolę. Spotkaliśmy się później w szpitalu. Był on ciężko ranny. Kula karabinowa przeszła go od biodra do biodra i naruszyła mu kręgosłup, że miał dolną część ciała sparaliżowaną. Chodził wtedy o kulach. Ale potem zupełnie się wyleczył. Został adwokatem i prezesem Stronnictwa Narodowego w Sosnowcu.

Większość harcerzy kieleckich znalazła się jednak w innym pułku, nie pamiętam już w którym, 205 czy też 236. Był między nimi też i mój kuzyn, Jędrzek Krenn. Pamiętam, staliśmy kiedyś na dziedzińcu Cytadeli i słuchali opowiadań jakiegoś starego żołnierza. Tłumaczył nam on, że gdy się jest pod silnym ogniem a ma się na przykład z jakimś meldunkiem przebyć pewną przestrzeń, to zamiast czołgać się, lepiej jest nagle zerwać się i przebiec. Nieprzyjaciel zwykle się nie orientuje w porę i nie trafia. Zdaje się, że rada ta nie wyszła Jędrkowi na zdrowie. W bitwie pod Grodnem we wrześniu miał przenieść jakiś meldunek. Zamiast się czołgać, zerwał się i pobiegł – i padł, rażony na miejscu kulą w głowę.

Któregoś dnia wydano nam karabiny i bagnety i ćwiczą nas szereg godzin w wykonywaniu ruchów: „na ramię broń”, „do ręki broń”, „prezentuj broń”, „na pas broń” i „bagnet na broń”.

Były to karabiny francuskie, ciężkie z bardzo cienkimi i długimi bagnetami. O wiele były gorsze od mauzerów niemieckich, jakie później fabrykowano masowo w Polsce i jakie stanowiły normalne uzbrojenie żołnierza polskiego w okresie międzywojennym i kampanii wrześniowej. (Zapoznałem się z nimi w czasie mej piętnastomiesięcznej służby w Marynarce Wojennej w latach 1927 – 1929). Po pierwsze były bardzo ciężkie, a to dla żołnierza odbywającego długie marsze jest wadą dużego znaczenia. Po wtóre, często się zacinały, tak że trzeba było walić kamieniem lub kolbą drugiego karabinu w rygiel, by zamek otworzyć. Po trzecie, zamek złączony był śrubką, którą bardzo łatwo było zgubić przy czyszczeniu.

Bodaj tego samego dnia, w którym wydano nam karabiny, wyprowadzono nas całym pułkiem, kolumną czwórkową, jak z igły umundurowanych (choć z różnym nakryciem głowy), z karabinami na ramieniu, z Cytadeli przez miasto na Plac Saski. Ustawiono nas tam wielkim czworobokiem, starannie wyrównano szeregi, ktoś odebrał raport, ktoś wygłosił do nas krótkie przemówienie. Ksiądz w stule stanął na podwyższeniu i odczytał rotę przysięgi. Złożyliśmy ją chórem, uprzednio zdjawszy czapki i wzniosłszy w górę dwa palce prawej ręki.

Wracaliśmy radośni i pełni zapału. Czuliśmy się naprawdę wojskiem. i byliśmy nim istotnie.

III. WYJAZD NA FRONT

Było to chyba zaraz następnego dnia, gdy dowiedzieliśmy się wczesnym rankiem, że wyjeżdżamy.

Wydano nam ostrą amunicję. Przydzielono nam sporą liczbę furmanek, zaprzęzonych w konie i wyznaczoną pewną ilość żołnierzy, przeważnie ludzi starszych, do roli furmanów. Na furmanki załadowane całe góry worków z żywnością, skrzyń z amunicją i innych bagażów. Pojawiły się także w tym taborze kuchnie polowe.

Wraz z całą grupą moich kolegów zostałem wyznaczony do eskortowania taborów na stację. Szliśmy przez dzielnicę żydowską ku mostowi Kierbedzia i potem przez Pragę na dworzec Wileński. Wozy i kuchnie polowe jechały środkiem ulicy, a my eskorta szliśmy obok nich.

Batalion – czy też cały pułk, już nie pamiętam – pomaszerował w zwartym szyku, kolumną czwórkową, innymi ulicami. Ogromnie żałowałem, że nie brałem udziału w tym pochodzie. Warszawa podobno szalała. Był to pierwszy pułk ochotniczy, jaki wyruszał na front od czasu ogłoszenia wezwania do zgłaszania się na ochotnik; miasto żegnało ten pułk żywiołowo. Kolumna czwórkowa szła otoczona zbitą masą odprowadzającego tłumu, każdy żołnierz miał kwiaty w lufie karabinu, kwiaty u czapki, kwiaty w każdej dziurce kurty mundurowej.

Zdołałem jeszcze z cytadeli zatelefonować do rodziców, by przyszli na dworzec Wileński. Dworzec i wszystkie jego perony były wypełnione tłumem, zarazem podnieconym i przejętym. Zmierzch się robił, gdyśmy na dworzec wkroczyli.

Pociągi towarowe stały na kilku torach, wojsko ładowało się do nich. Na peronie przygrywała orkiestra. Jakiś ksiądz przemawiał. Panie z Białego krzyża rozdawały żołnierzom gorące kakao.

Rodzice znaleźli mnie bez trudu, bo znali już numer mojej kompanii. Ojciec dowiedział się skądś, że pułk mój wyjeżdża pod Grodno, gdzie właśnie, według komunikatu wojennego z tego dnia, toczyła się uciążliwa i niepomyślna bitwa. – Prawie każdy z nas miał na stacji kogoś bliskiego. Matka przyniosła mi jakieś słodycze i owoce oraz trochę ciepłej bielizny, a ojciec wsunął mi do ręki spora sumę pieniędzy, sumę, która mu z pewnością zrobiła uszczerbek. Matka sporo przy pożegnaniu płakała. Ojciec mnie tylko mocno uściskał.

O dość późnej wieczornej godzinie kazano publiczności opuścić dworzec. Załadowano nas do wagonów towarowych. Rozciągnęliśmy koce na podłodze, położyliśmy sobie plecaki pod głowy i ułożyliśmy się do snu. Pociąg długo nie ruszał z miejsca, a gdy wreszcie ruszył, jechał powoli i z długimi postojami na każdej niemal stacji. Gdyśmy się rano obudzili, jechaliśmy wciąż przez równiny, właściwie będące okolicą podwarszawską.

Od samego rana oficerowie i podoficerowie obchodzili wagony celem udzielania nam lekcji obchodzenia się z bronią. Pociąg jechał, a my siedzieliśmy koło instruktora, który pokazywał nam, jak się wyjmuje zamek z karabina, jak się go rozkłada i czyści, jak się czyści lufę, jak się karabin ładuje, jak się repetuje, jak się nastawia celownik, jak się mierzy do celu i strzela. Tyle było naszego wyszkolenia strzeleckiego. Niektórzy z nas umieli już strzelać z broni małokalibrowej lub myśliwskiej lub z rewolwerów. Ja także trochę umiałem. Ale większość nie umiała. Obiecano nam, że jeśli czas pozwoli, to urządzone dla nas będzie ćwiczebne strzelanie gdzieś w drodze. Okazało się, że czas nie pozwolił. Sztuki strzelania nauczyliśmy się, strzelając od razu do nieprzyjaciela.

Jechaliśmy na wschód, a po drugim torze wciąż jechały pociągi wracające z frontu na zachód. Mieliśmy przed oczyma obraz pobitej armii, cofającej się wyraźnie w nieładzie. Pociągami tymi jechało sporo ludności cywilnej, jakieś kobiety, jakieś płaczące dzieci, jakieś stopy pospiesznie załadowanych na wagony rupieci, ale przede wszystkim jechało wojsko:

ranni, całe pociągi z rannymi; chaotycznie władowane do pociągów tabory; jakieś połamane, potłuczone działa. I żołnierze. Nie oddziały, ale całe tłumy pojedynczych żołnierzy, jacyś ludzie pogubieni, szukający swoich oddziałów, i po prostu uciekający, maruderzy, dezercerzy.

Kraj był dosyć zniszczony jeszcze przez wojnę światową. Mosty były powysadzane w powietrze, zastąpione tymczasowymi konstrukcjami drewnianymi, po których pociąg przechodził bardzo powoli. Nieraz pociąg stawał przed mostem, czekając na przejście innego pociągu, tak że mogliśmy wysiąść z wagonów i rozprostować kości.

Było to zdaje się w Małkini, gdy staliśmy przy moście dość długo. Zetknęliśmy się tam z licznymi żołnierzami wracającymi z frontu. Rozmawialiśmy z nimi w licznych gromadkach stojąc lub siedząc na trawie na zboczu nasypu.

Było to charakterystyczne zetknięcie się młodych ochotników ze zmęczonym i zniechęconym żołnierzem frontowym. Żołnierze frontowi, przynajmniej ci, których wówczas poznaliśmy, byli przygnębieni i zrozpaczeni, zarówno jak utrudzeniu długim, beznadziejnym odwrotem znad Dźwiny, Berezyny i Dniepru. Powiało nam od nich przerażającym smutkiem i ruiną klęski. Było w nich – na małą skalę – coś, co przypominało odwrót Napoleona spod Moskwy. A my byliśmy zdeterminowani osiągnąć zwycięstwo. Po to wstąpiliśmy do wojska, by najazd odeprzeć. I wezwania do zaciągu, którym daliśmy posłuch, były dla nas dowodem, że to jest możliwe. Został mi we wspomnieniu przejmujący obraz; młodzieńcze harcerzyki, prawie dzieci, przebrane w mundury wojskowe jak z igły, prawicę z zawziętością patriotyczne kazania starym, dość obdartym wiarusom, tylko uśmiechającym się pobłaźliwie i machającym ręką.

Obrazki takie musiały w owej epoce być rzeczą codzienną w całym polskim wojsku. Jak wiadomo, zgłosiło się w lipcu i w sierpniu 164,615 ochotników, ponadto niektóre dodatkowe roczniki powołano przymusowo. Kraj był usposobiony doskonale i ta świeża masa żołnierska, wcielona do szeregów, choć nie wyszkolona, zaraziła wojsko, trochę już zdemoralizowane – swoim wysmienitym duchem. Część tej masy zorganizowano – jak nas – w całkiem nowe formacje. Ale większość cześć wcielono jako uzupełnienie do oddziałów starych, a dotychczasowymi działaniami przerzedzonych. W oddziałach tych szybko się przy swoich starszych kolegach nauczyli rzemiosła żołnierskiego, a podnieśli nastrój tych kolegów zarówno bezpośrednim wpływem swej postawy, jak pośrednio ukazaniem swoją obecnością, że coś się zmienia się ku lepszemu i że sprawa nie jest stracona.

Tuchaczewski, wódz armii sowieckiej, późniejszy marszałek, napisał co następuje w swojej książce o wojnie polsko-sowieckiej:

„Dywizje drugiej linii z numerami od 101 i wyżej zjawiały się na naszym froncie jedna za drugą. Wreszcie pojawiły się formacje trzeciej linii, tzw. ochotnicze. Te formacje, bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostateczne zalety bojowe, ponieważ kompletowały się z elementów inteligentnych i burżuazyjnych, które pojmując, że los ich stawia się na kartę, zdradzały wielkie zdecydowanie i upór”.

Oczywiście demagogia jest twierdzenie, że chcieliśmy się bić, bo byliśmy burżujami. Burżujami nie byli ani harcerze, chłopscy synowie, uczniowie seminarium nauczycielskiego, ani tym bardziej ochotnicy z Powiśla, tacy jak mój przyjaciel Idzik, rzeźnik – analfabeta. Chcieliśmy się wszyscy bić, bo chcieliśmy uratować Polskę. I zapewne to było widoczne nawet dla nieprzyjaciela, skoro Tuchaczewski o tym napisał.

Jechaliśmy cały dzień. Zmierzch już zapadał, gdy przybyliśmy na stację Łapy, ostatnią większą stację przed Białymstokiem. Był to kres naszej podróży. Wyładowano nas z pociągu, ustawiono w długą, pieszą kolumnę marszową, za którą ustawiły się tabory i poprowadzono – w nieznane.

IV. ŁAPY I SURAŻ

Wiem dzisiaj, że tworzyliśmy wówczas formację złożoną z trzech świeżo utworzonych pułków ochotniczych, nazywanych czasami „dywizja ochotniczą”, a czasami „Grupą pułkownika Koca”*. Grupa ta znalazła się w rejonie Łap w całości. Wówczas oczywiście wtedy o tym nie wiedziałem. Widnokrąg mój sięgał szczebla batalionu; najwyżej w niektórych momentach szczebla pułku.

Pomaszerowaliśmy z Łap w ogólnym kierunku południowym. Nie pamiętam dokładnie, ile czasu trwały nasze pierwsze marsze, jedną dobę czy dwie, czy więcej, zostało mi jednak w pamięci ogólne wspomnienie marszów długich, w miarę meczących, jednak na ogół stanowiące przeżycie przyjemne. Nie byliśmy jeszcze niczym utrudzeni, maszerowaliśmy bez wysiłku i z zapałem. Zżywalimy się szybko z sobą i naszymi dowódcami, wspólny marsz był czynnikiem zespalającym nas w jedną, zgraną masę. Stanowiliśmy długą, nie kończącą się kolumnę, mieliśmy w sobie poczucie siły i rosnącą świadomość jednolitości jako formacja. Myśl o bliskim spotkaniu z nieprzyjacielem rozpałała wyobraźnię, zabarwiała nasz pochód podniecającą świadomością zaczynającej się przygody.

Pamiętam, staliśmy kiedyś całym batalionem na postoju na jakimś wielkim placu. Może to było na rynku w Łapach? Wieczór był już dość późny. Ustawiliśmy karabiny w kozły, w długi szereg piramid połyskujących mrocznym blaskiem stali. Było chłodno. Obok ustawionej w kozły broni płonął długi rząd ognisk. Skupiliśmy się wokół nich, by się ogrzać; krwawy blask oświetlał nasze twarze. Wydano nam kolację i jedliśmy ze smakiem chleb i popijali kawę. Może to nie było w Łapach? Może gdzieś później? Ale na rynku staliśmy na dłuższym postoju na pewno.

W tę samą noc, pierwszą noc marszu, pamiętam, zrobiło się zimno. Idąc, odwiązałem od plecaka zrolowany płaszcz i włożyłem go na siebie. Podoficer mnie ofuknął i kazał zwinąć z powrotem: wszyscy mają być ubrani jednakowo. Zwijałem go z trudem w marszu, a kiedy skończyłem, zatrzymaliśmy się na krótki postój i wszyscy nałożyliśmy płaszcze na rozkaz. Były to sposoby wpajania nam dyscypliny.

Maszerowaliśmy trochę nocami, głównie jednak za dnia. Pamiętam jakieś noclegi na kwaterach po wsiach. Przychodziło się na te noclegi bardzo późno. Kwatermistrze rozprawdzali plutony po stodołach, gdzie spaliśmy na słomie, tylko zdjawszy obuwie i przykrywszy się kocami i płaszczami. Rano myliśmy się przy studniach lub nad strumieniami. Jeszcze miałem wtedy mydło, ręcznik, szczoteczkę i proszek do zębów, lusterko i grzebień (golić jeszcze się nie potrzebowałem). Ale to były tylko początki. Nadeszły wkrótce czasy, gdy ani nie miałem przyborów toaletowych, ani nie miałem na toaletę czasu i ochoty; w czasach tych nie myśliśmy się całymi tygodniami.

Pamiętam życzliwość, z jaką odnosiła się do nas ludność. Było to Podlasie, dzielnica zahartowana w patriotycznym i religijnym oporze wobec rosyjskiego zaborcy. Religia i polskość zlewały się dla tej ludności w jedno nierozdzielne pojęcie.

Kiedyś w jakiejś stodole gospodarz dopomagał nam wymościć postanie ze słomy przed snem. Rano okazało się jednak, że któryś z żołnierzy, który dostał słomy za mało i było mu twardo, przyniósł sobie w nocy dodatkowy snopek z kąta stodoły. Nie była to jednak

* Dowódcą Dywizji Ochotniczej był aż do pierwszych dni sierpnia włącznie gen. Zagórski, zamordowany w zagadkowych okolicznościach w rok po wypadkach majowych. To on dowodził dywizją pod Surażem i Paprocią. Odszedł na stanowisko szefa sztabu frontu północnego. W bitwie warszawskiej dywizja uczestniczyła jako jednostka bardzo już zredukowana liczebnie i nie nosiła już nazwy dywizji. Dowodził nią wtedy ppłk. Koc, późniejszy szef „Ozonu”.

Rozmawiałem w tych dniach z gen. Józefem Hallerem. Powiedział mi on, że Dywizja Ochotnicza odegrała w wojnie rolę wielkiej miary i przyczyniła się w sposób rozstrzygający do zwycięstwa. Bitwa pod Surażem i Paprocią zatrzymała pochód bolszewików i pozwoliła na spokojne, przeprowadzenie odwrotu przez cały front północny. (Przypisek autora).

słoma, lecz nie wymłócone zboże. Wymłócił je swoim ciałem, ziarno rozsypało się wśród słomy na klepisku. Gospodarz czynił mu wymówki:

- Miałem tu wojsko niemiecki i Ruskie i każde robiło szkodę. To się wie. Ale żeby nasze, katolickie wojsko też robiło szkody, to przykro.

Nie nazwał nas wojskiem polskim, ale katolickim.

Jakaś baba pytała mnie, co to za język, którym mówią te „bolsiewiki”. Gdy jej powiedziałem, że rosyjski, ten sam, którym mówiło wojsko carskie, była bardzo zdziwiona.

Regularnie dawano nam wtedy jeść. Nie byliśmy głodni. Na obiad kuchni polowe wydawały nam gęsta zupę, kaszę lub gulasz, na śniadanie i kolacje czarną kawę zbożową. Dostawaliśmy ponadto duże porcje pożywne razowego chleba oraz marmoladę lub smalec, a czasem kawałki słoniny.

Postoje, na nocleg oraz na posiłki, mieliśmy krótkie. Maszerowanie było naszym głównym zajęciem. Choć także i w marszu robiono nam od czasu do czasu dla wypoczynku dziesięciominutowe postoje. Szczególnie żywo tkwi mi w pamięci – związane z tymi marszami – wspomnienie chóralnego śpiewu. My harcerze umieliśmy śpiewać. A i reszta naszych kolegów szybko nauczyła się od nas. Wiele piosenek znaleźliśmy, innych nauczyli nas podoficerowie i oficerowie, jeszcze inne znał ktoś jeden, zaśpiewał sam pochwyciliśmy, czasem przekręcili albo przerobili – i już śpiewaliśmy chórem.

Chóralny śpiew ogromnie łączy z sobą maszerujących żołnierzy. Wyładowuje się w nim w sposób zbiorowy pomieszany splot uczuć, kłębiących się w duszy każdego żołnierza z osobna i składający się na nastrój zbiorowy oddziały: dziwne uczucie lekkości i beztronski żołnierza w marszu, nie kłopotującego się o nic, bo dowództwo myśli za niego, radości że się jest żołnierzem, dumy, determinacji, pragnienia zwycięstwa, a zarazem smutku, tęsknoty za domem, leku śmierci. Śpiewaliśmy całą duszą, na całe gardło. Szliśmy dość swobodnie, - mogliśmy nieść karabiny jak nam było wygodniej, zawieszane na lewym ramieniu, na prawym, na szyi, kolbą w dół, lufą w dół, - gdy było ciepło mogliśmy, gdy chcieliśmy, mieć kurty rozpięte i czapki spychać na bakier, - ale szliśmy w nogę. Buty mieliśmy podkute, wybijaliśmy nimi mocny, zawadiacki rytm marszu i śpiewanej melodii. Każda kompania śpiewała co innego, gdy się na chwilę umilkło, by zacząć nową piosenkę, słyszało się z przodu i z tyłu dziwny, podniecający gwar krzyżujących się z sobą melodii śpiewanych przez różne kompanie. Gwar maszerującej na spotkanie nieprzyjaciela piechoty.

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki Bóg nad nami,
Jeszcze Trocki będzie wisiał
Do góry nogami.

Szary, zwyczajny, żołnierski struj
Nie widać ni srebra ni złota,
To pierwsza na krwawy podąża, na tan
Piechota, piechota, piechota.

Nad nimi bagnetów kołysze się łan,
A w sercach ich plonie ochota
To pierwsza na krwawy podąża, na tan
Piechota, piechota, piechota.

Rozkwitały oponki białych róż,
Wróc Jasieńku z tej wojenki już,
Wróc, ucałuj, jak za dawnych lat,
Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat.

Przekwitły pęki białych róż,
Przeszła wiosna, lato, jesień już,
Cóż ci teraz dam Jasieńku, hej,
Gdy wrócisz z wojenki do dziewczyny swej?

Jasieńkowi nic nie potrzeba już,
Kwitną ci mu nowe pęki róż,
Tam pod lasem, gdzie w wojence padł,
Zakwitł na mogile białej róży kwiat.

Jeszcze dzisiaj serce w piersiach radośnie łopoce na wspomnienie tego marszu i śpiewu. Był lipiec, ziemia polska, dzisiaj będąca tak nieosiągalnym, tęsknotą napojonym wspomnieniem, rozciągała się przed nami w całym swym rozkwicie i krasie. To było Podlasie, przedsiemek tych ziem wschodnich, które pragnęliśmy dla Polski uratować i które na lat dwadzieścia uratowaliśmy rzeczywiście. Na wojnę szliśmy z wiarą w zwycięstwo. I mieliśmy lat siedemnaście...

Ze jesteśmy w strefie frontowej – czuło się wyraźnie. Utkwił mi we wspomnieniu obrazek oddziału ułanów, który koło nas przegalopował, widocznie wioząc jakieś rozkazy czy meldunki. Było ich tylko trzech czy czterech, mieli oczy wpatrzone uważnie w dal, - gdzieś się spieszyli. Mieli półksiężycy na kołnierzach, była to więc „jazda tatarska”, uformowana na spośród tej dziwnej ludności, osiadłej od piętnastego stulecia w liczbie kilkunastu tysięcy głów na Podlasiu, w Nowogrodzkim i na Wileńszczyźnie, Polaków, i to dobrych Polaków, wyznania muzułmańskiego i pochodzenia tatarskiego. Gdy patrzyłem na nich, pochylonych nad końskimi szyjami, kołyszących się miarowo w rytm galopu, wykonywujących swe odwieczne konne rzemiosło, zapachniało mi zarazem „Trylogią” Sienkiewicza, bliskością kresów wschodnich – i świadomością, że to naprawdę wojna.

Pochód nasz nie był bez przerwy w jednym kierunku, było w nim trochę marszów i kontr – marszów. Widocznie przerzucano nas nieco, w miarę zmieniającej się sytuacji.

Był dość późny wieczór, gdy przyprawiono nas do dość ubogiej wsi na skraju lasu. Zapamiętałem jej nazwę: nazywała się Filipy. Leżała nad górną Narwią, na południe od miasteczka Suraż. Niebo błyskało się od dalekiego ognia działowego i nieustanny łoskot przewalał się po nim. Także i grzechot karabinów maszynowych i daleka palba piechoty docierała od czasu do czasu do naszych podnieconych i trochę niespokojnych uszu. Znałem już te dźwięki dobrze – głównie z rewolucyjnego Petersburga z przed lat trzech.

W prowadzono nas do stodół na nocleg, ale jeszcze nie zdążyliśmy usnąć, gdy pluton nasz wywołano na zbiórkę.

- Na pas broń! W lewo zwrot! Kierunek na przód marsz!

Zaprowadzono nas na skraj lasu. Czekał tam na nas podoficer, kapral, nieznajomy, nie z naszej kompanii, a bodaj i nie z naszego pułku. Wyłonił się z lasu cicho, jak leśny faun, milcząca istota, nierozzerwalnie z tym lasem i mrokiem związana. Zrobił na mnie wrażenie chłopca Poleszuka, wizja gajowego z „Puszczy” Weyssenhoffa. Miał bardzo rzadką kozią bródkę. Był bosy i spodnie miał podwinięte wysoko ku górze – gołe miał ubłocone po kolana. Buty mu wisiały na sznurku na lewym ramieniu, a karabin na pasie na prawym.

Kilkunastu z pośród nas oddano pod jego komendę. Przeprowadził nas przez las na pustą przestrzeń poza nim. Noc była ciemna choć oko wykol.

Dwóch z nas, jednego młodziutkiego harcerzyka i mnie, ustawił pod starą rosochatą wierzbą w bardzo mokrym miejscu. Przed nami rozciągała się płaska, zalana wodą przestrzeń, ponad którą snuły się białawe mgły.

- Tu są błota, a dalej jest rzeka. Macie uważać, czy kto z tamtej strony nie idzie. Jakby ktoś szedł – macie strzelać.

Ustawił nas całą długą linią wzdłuż błot w dużych odstępach, jedna czujka od drugiej. Staliśmy, szczękaliśmy zębami, mokliśmy, bo zaczął padać coraz dokuczliwszy deszcz i wpijaliśmy oczy w ciemności. A wokół nas coraz wyraźniej zaczynała gorzeć bitwa. Czuję się taki samotny w te mroczną noc wśród dziwnie niegościnnego pustkowia, iż trzask ognia broni ręcznej i maszynowej wokół mnie i blaski ognia działowego, od którego na chwilę robiło się widno, raczej mi dodawał otuchy, niż napełniał lękiem, był oznaką, że są wokół nas żywi ludzie.

Zmieniono nas na posterunku, po pewnym czasie, nie pamiętam jak długim. Pamiętam, że wróciliśmy do wsi, do stodoły i spaliśmy trochę, ale nie długo. Gdy wyszedłem ze stodoły by się umyć, było już widno. Bateria dział ustawiła się wśród ulewnego deszczu o kilkanaście kroków od naszego gospodarstwa i wkrótce rozpoczęła ogień. Przez czas dłuższy przyglądałem się pracy artylerzystów.

W te noc wszystkie czy też prawie wszystkie kompanie naszego pułku były w akcji, strzelały, nacierały, były atakowane, tylko my jedni, wyznaczeni do biernej roli obserwatorów wśród błot, nie byliśmy do tej akcji wciągnięci. Jeśli dobrze pamiętam, nawet inne plutony naszej kompanii brały jakiś udział w bitwie. Nie był to jednak udział zbyt poważny i kompania nasz nie miała żadnych strat.

W ciągu dnia wypadło nam znowu maszerować. Przerzucono nas w inną stronę. Był to zdaje się odwrót, ale nie jestem tego pewien. Ale jeśli nawet był to odwrót, była to operacja odbyta w zupełnym porządku. Nie sądzę, by bitwa pod Filipami była bitwą przegraną. Być może, była to operacja osłonowa, po której mieliśmy rozkaz się wycofać.

Nie pamiętam jak długo nasz marsz trwał: jeden dzień czy kilka. Byliśmy potem obecni w czasie innej, dosyć poważnej bitwy, ale nie braliśmy w niej udziału, tylko stanowiliśmy odwód, którego nie użyto. Leżeliśmy w stodole, trochę drzemiąc, a trochę nasłuchując. Mieliśmy w tej stodole jednego zabitego od zbłąkanej kuli. Nie pamiętam, jak się ta wieś nazywała; chodzi mi po głowie nazwa Łapy – Korczaki, ale nie jestem tego pewien. Zdaje mi się, że byliśmy najpierw pod Łapami – Korczakami, a potem pod Jabłonką, ale być może, że było odwrotnie.

Potem przesunięto nas do innej wsi. To właśnie o niej mi się zdaje, że się nazywała Jabłonka. Przybyliśmy do niej wczesnym rankiem. Bitwa wokół tej jabłonki trwała przez cały dzień do wieczora. Myślę, że skierowanie nas do owej Jabłonki było użyciem jako odwodu.

Mniej więcej w tym czasie – zdaje mi się, że rankiem w Jabłonce – odpadł od nas mój kuzyn, Jerzy Giertych. Wskutek ciągłych deszczów i nieustannego przemoknięcia zaziębił się poważnie i został jako chory zabrany do szpitala. Już więcej do oddziału nie wrócił, spotkaliśmy się z nim dopiero w Warszawie.

Pod ową Jabłonką wyznaczono naszemu plutonowi zadanie pilnowania odcinka na skraju wsi. Nasz dowódca, podporucznik Gozdek, założył placówkę w zagłębieniu gruntu tuż za wsią. Mieliśmy wieś za plecami, otwarte, falujące pole przed sobą, lasek – olszynkę, przez który przepływał strumień, z prawej strony i poza zaroślami z lewej. Czujki były co pewien czas zmieniane. Reszta plutonu siedziała razem jako siła skupiona. Byliśmy przez cały czas pod obstrzałem, ale obstrzał ten nie robił nam żadnej szkody, bo siedzieliśmy w zagłębieniu gruntu. Artyleria nieprzyjacielska obstrzeliwała nas nękającym ogniem, ale pociski padały rzadko, rozrzut był duży, i widocznie amunicja była nienajlepsza, bo niektóre nie wybuchały.

Piechota nieprzyjacielska strzelała w naszą stronę z karabinów, ale widocznie nie do nas, bo kule z przeciągłym świstem przelatywały wysoko nad nami.

Zacząły się już nieporządki z dostawą żywności i nie dostaliśmy nic do jedzenia. Byliśmy głodni. Podporucznik Gozdek zarządził, by nazbierać bobu z pobliskich pól, na których dużo go rosło. Kilku żołnierzy wysłanych w tym celu – przyniosło go całe naręcza. Przynieśli także trochę śliwek z chłopskich ogrodów; śliwki te były jeszcze prawie całkiem zielone, ledwie pierwsze smugi barwy fioletowej zaczynały się na nich tu i ówdzie pojawiać.

Chwilami padał deszcz, a chwilami pojawiała się słońce. Podporucznik Gozdek kazał rozpalić ognisko. Siedzieliśmy wokół niego i grzaliśmy się; było to bardzo przyjemne. Gdy przyniesiono bób zaczęliśmy przypiekać go na ogniu. Trzymaliśmy go za łodygi nad płomieniami. Przypieczone, gorące ziarna, były bardzo smaczne.

Ale ognisko, które początkowo płonęło jasnym ogniem bez dymu naraz zaczęło wydawać gęsty dym. Widocznie dołożyliśmy do niego mokrego drzewa. W jednej chwili zajęczały wokół nas pociski i kilka granatów wybuchło tuż koło nas. I one nie zrobiły nam szkody, ale napędziły strachu i obsypały ziemią i błotem. Odłamek granatu wielkości orzecha odbił się od drzewa i lecąc bardzo już osłabionym pędem uderzył mnie w dłoń, ale nie zrobił mi nic prócz siniaka.

Na rozkaz porucznika Gozdka natychmiast zasypaliśmy i udeptaliśmy ognisko. Musieliśmy się odtąd zadowolić bobem na surowo i zielonymi śliwkami. Był to dla nas pierwszy dzień głodu, ale nie ostatni. Przez szereg dni następnych odżywiałem się niemal wyłącznie zielonymi śliwkami, których pełno było po chłopskich ogrodach i które powinny były dojrzeć za kilka tygodni. Dziw doprawdy ze się nie rozchorowałem na żołądek.

Większą część dnia siedzieliśmy skupieni wokół podporucznika Gozdka i słuchaliśmy jego opowiadań. Był to młodziutki chłopiec, ale miał już duże doświadczenie frontowe. Cały 1919 rok i pierwszą połowę 1920 roku spędził na wojnie i masę miał o swych przeżyciach do opowiedzenia. Był bardzo przystojny, myślę, że umiał podobać się dziewczętom. Mimo swych dwudziestu czy dwudziestu kilku lat życia przemawiał z wielką powagą i z zachowaniem swego oficerskiego autorytetu, - wesoło ale bardzo poprawnie co do formy, powściągliwym językiem człowieka wykształconego, dobrze wychowanego i nie zapominającego, że jest naszym zwierzchnikiem. Patrzyliśmy na niego jak w słońce.

Około południa stałem przez godzinę czy też dwie jako czujka, wysunięty w przód i w prawo od placówki, to znaczy miejsca postoju plutonu. Nieprzyjaciela nie widziałam, a spoza tego drzewa rozglądałem się po leżącej przede mną przestrzeni. W trakcie mego stania jako czujka nadeszła inna kompania naszego pułku i zrobiła na tym odcinku natarcie. Była to dobrze znana w naszym pułku kompania, zwana „kompanią prawników”. Nie należała do naszego batalionu. Jeśli pamięć mnie nie myli, nosiła numer 2 – gi czy 3 – ci. Jej trzon stanowili ochotnicy z warszawskich kół prawniczych, adwokaci i aplikanci adwokaccy, prokuratorzy, sędziowie, notariusze. Poznałam przy jakiejś okazji jednego z nich, znanego lewicowca polityka, posła do sejmu i adwokata, niedawnego wiceministra sprawiedliwości, Eugeniusza Smiarowskiego, łysawego pana po czterdziestce, w okularach i o sporym brzuszku. W tej samej kompani służył także i znany przywódca Chrześcijańskiej Demokracji, również poseł do sejmu i adwokat, Chaciński.

Szli tyralierą od strony wsi, tak że najpierw byłem wysunięty przed ich front, potem zrównali się ze mną, a potem poszli naprzód, zostawiając mnie z tyłu. Robili dziwne wrażenie, - taka linia tyralierska starszych panów ubranych w mundury wojskowe, ale wyraźnie wyglądających na cywilów. Nieprzyjaciel widocznie ich widział bo przyjął ich gęstym ogniem karabinowym i maszynowym. Kule gwizdały gęsto, - to już nie był przeciągły, długo brzmiący w powietrzu śpiew wysoko ponad głowami, ale nagłe, krótkie, ostre, przejmujące świsty koło ucha. Poupadało ich sporo; nie wiem czy byli między nimi

zabici, ale rannych było dość dużo. Wracali potem do wsi ci, którzy mogli, a ciężiej rannych zbierali sanitariusze.

Wobec gęstości ognia położyłem się na ziemi, ale podoficer z naszego plutonu, który właśnie nadszedł, aby skontrolować czujki, zwrócił mi uwagę, że mam stać a nie leżeć, więc wstałem.

Tyaliera zwróciła się na prawo, weszła w olszynę i straciłem ją z oczu. Nie wracali później tą drogą, widocznie wycofali się następnie w innym kierunku.

Potem znów siedziałem przy wygaszonym ognisku na placówce obok porucznika Gozdka, a przed wieczorem sam porucznik Gozdek zaprowadził mnie na nowa czujkę, tym razem w innym miejscu, mianowicie z prawej strony, poza olszyną. Przeszliśmy przez olszynkę, przeskoczyliśmy przez strumień płynący jej środkiem. Za olszynką znowu ciągnęły się pola uprawne, - teren falisty.

- Stańcie pod tym drzewem obserwujcie, co się dzieje na tych polach. Jakby się pojawił nieprzyjaciel, biegiem wracajcie i meldujcie.

- Tak jest.

Stałem na skraju olszynki i patrzyłem. Chyba przez jakąś godzinę nie działo się nic. A potem nagle artyleria nieprzyjacielska zaczęła walić w moją olszynkę. W pierwszej chwili, pamiętając o tym co mi powiedziano na poprzedniej czujce chciałem pozostać w postawie stojącej, ale to było niepodobieństwo, istne samobójstwo. Upadłem na ziemię, wtuliłem się jak mogłem w zagłębienie gruntu pod drzewem i zdrętwiałymi ze strachu wargami szeptałem pacierze. To nie był ogień nękający, jak przez cały dzień na skraju wsi, to była skupiona nawała ogniowa. Pociski wybuchały co kilka sekund tuż obok mnie; ich wybuchy zlewały się w jeden nieustanny łoskot. Dym i wyrzucana w powietrze ziemia tworzyły nieprzeniknioną zasłonę, poza którą nie było nic widać na odległość dwóch metrów. Byłem przysypany grubą warstwą ziemi i błota, już byłem jakby na pół w grobie. Wydało mi się niepodobieństwem, bym mógł się uratować, ale nie byłem nawet draśnięty.

Nie na wiele przydałem się jako czujka! Nic nie widziałem, a gdybym był widział, to nie mógł bym zameldować. A to, że artyleria bije w olszynę, wiedziano na placówce i beze mnie. Nie wiem jak długo to trwało. Nie miałem zegarka. Oceniałem później tę nawałę na oko na piętnaście minut. Ale może się myliłem? W takich sytuacjach czas się bardzo dłuży. Myślę teraz, że było chyba dużo mniej.

Nawała ustała równie nagle jak się zaczęła. Zrobił się tak cicho, że aż w uszach dzwoniło. Cały wewnętrznie rozdygotany i wciąż szepcząc pacierze, zwałem z siebie przykrywającą mnie ziemię i wstałem. Nie widziałem przed sobą nic. Dym zasłaniał widok. Zapach spalonego materiału wybuchowego unosił się w powietrzu. Dyszałem ciężko.

Nagle dym się rozproszył, a spoza jego zasłony wyłoniła się maszerująca po polu prosto w moją stronę tyraliera bolszewickiej piechoty. Byli ode mnie w odległości może 200 metrów. Nawała ognia artyleryjskiego była widocznie przygotowaniem ich natarcia.

Jak zając puściłem się do ucieczki. Niektórzy żołnierze bolszewicy przyklękli, strzelając do mnie z kolana. Kule gwizdnęły mi koło uszu, ale mnie nie trafiły. Wpadłem w gęstwinę olszynki i zniknąłem z oczu. Pędem przebiegłem przez strumień, rozpryskując wodę nogami. Wyleciałem z olszynki i najszybszym biegiem, na jaki zdołałem się zdobyć, pomknąłem przez pole w stronę placówki. W miejscu po drodze, gdzie poprzednio była czujka, już jej nie było. Dopadłem do placówki, ale zagłębienie gruntu na skraju wsi było puste. Nie było tu żywej duszy. Wszyscy odeszli.

Potem wpadłem do wsi. Kilku żołnierzy biegło z różnych stron, w tym samym kierunku co ja.

Nagle zza jakiegoś opłota wyskoczył na koniu porucznik Wądołkowski, dowódca batalionu. Przez chwilę mignęła mi przed oczami jego sylwetka, jak spinał konia, robiąc

zwrot na miejscu, tak że koń stał przez moment na tylnych nogach niemal pionowo wyprostowany.

Podbiegłem do niego i zaszalutowałem, zamierzając złożyć meldunek, ale niecierpliwym gestem zamknął mi usta.

- Maszerować do Oleksina – skomenderował, wskazując ręką w kierunku zachodnim. Znow spiął konia i pogalopował w inną stronę. Obejrzał różne zakamarki wsi, starając się pozbiierać pogubione części swojego batalionu.

Nabrałem otuchy. Ujrzałem nad sobą spokój i władcą ręką dowództwa, któremu podlegam. Pomaszerowałem, a raczej pobiegłem wzdłuż wsi. Coraz więcej żołnierzy, tak samo śpieszących i zdyszanych jak ja, pojawiło się na drodze.

Gdyśmy wyszli ze wsi na szeroką drogę wiodącą do następnej wsi, noszącej nazwę Oleksin, urosiliśmy do rozmiarów całego pochodu. Zaczynało się zmierzchać. Szliśmy wzdłuż drogi wyciągniętą linią, tu pojedynczy żołnierz, tam cały oddziałek pod dowództwem podoficera, wszyscy zdyszani, zmęczeni, spieszący się jak tylko mogli, sporo rannych. Co koń wyskoczy przegoniła nas pusta, wygaszona kuchnia polowa; furman poganiał konia batem, a z tyłu na kotle siedział ślaniający się młodzieńki ranny żołnierz, biały jak papier, a krew mu buchała ustami, wielka purpurową smugą spływając po kurcie.

W oddali, z lewej strony widzieliśmy posuwające się po falujących polach tyraliery bolszewickie. Szły w kilku rzutach, mijając nas, i przeganiając, jakby wielkie ramie ogarniające nas z lewej strony. Budzili groźną swoją siłą liczebną. Niektórzy z nas strzelali do nich z karabinów, ale inni wołali, że nie warto, nie traćmy czasu, i tak nie trafimy, bo daleko.

Artyleria bolszewicka strzelała nękającym ogniem w drogę naszego odwrotu. Co chwila padaliśmy na ziemię, słysząc w powietrzu wycie nadlatujących granatów. Niektóre wybuchały na drodze inne na polach po obu stronach drogi, jeszcze inne zarywały się w ziemię i nie wybuchały wcale.

Jakże dobrze pamiętam ten marsz wśród tłumu rozbitków na drodze do Oleksina! Ten odwrót rozbitego batalionu po przegranej bitwie. Powietrze pachniało prochem, zmierzch zapadał. Dotąd czuje zapach w nozdrzach, czuję w sercu nastrój tego groźnego wieczora. A jednak nie ma w tym wspomnieniu ani pierwiastka przygnębienia i strachu ani tym bardziej upokorzenia; jest raczej uczucie czegoś podniosłego, uczucie spełnionego obowiązku i pełnego napięcia gromadzenia w sobie sił do nowego wysiłku. To była przegrana bitwa, ale to nie była przegrana wojna. Nie było w nas ani cienia myśli o tym, że ostateczny wynik tej wojny może być czymś innym niż zwycięstwem.

Wszystkie dotychczasowe nasze operacje: Filipy, Łapy – Korczaki, Jabłonka, składały się na jedną całość, która była kilkudniowa bitwa opóźniająca, stoczona przez dywizję ochotniczą i nazywana zwykle bitwą pod Surazą i Łapami. Zostaliśmy rzućni na front, by pochód bolszewików zatrzymać. Bolszewicy nas rozbili i zepchnęli. Ale zarobiliśmy przez to dla Polski kilka dni drogocennego czasu.

Droga do Oleksina wynosiła kilka kilometrów. Gdyśmy wchodzili do wsi robiło się ciemno. Ludność stała w niemej grozie przed chałupami, patrząc na nas w milczeniu. Kobiety załamywały ręce i płakały. Utkwiła mi w pamięci sylwetka księdza, pewnie miejscowego proboszcza, stojącego przed którymś z domostw w otoczeniu gromadki mężczyzn i kobiet i patrzącego z posępnym wyrazem twarzy na nasz odwrót.

Gdyśmy doszli do skrzyżowania dróg w środku wsi było już ciemno zupełnie. Na skrzyżowaniu stał podoficer i kierował na punkty zborne.

- Która kompania? Pluton? W prawo, zbiórka w tej a tej chałupie z rzędu.

W gospodarstwie, do którego mnie skierowano, pluton gromadził się na podwórzu i w izbie. Była nas spora gromada. Wszedłem do izby. Była pełna żołnierzy, także ledwo zdołałem się przecisnąć do środka. Paliła się lampa naftowa, gospodarze przejściu częstowali

nas chlebem razowym i gorącym mlekiem. Właśnie jeden z żołnierzy ściągał z siebie mokrą od deszczu koszulę; gospodarze dali mu inną, suchą, a on im tę oddał na zamianę.

Ucieszyłem się, że widzę tyłu moich kolegów, ale dowiedziałem się od nich rzeczy bardzo smutnych. W czasie gdy byłem na czujce, pluton nasz został rzucony do przeciwnatarcia i został przez nacierającego nieprzyjaciela rozbity i poniósł ciężkie straty. Między innymi, zginął na miejscu, prowadzący pluton do ataku, rażony kulą w głowę, nasz dowódca, podporucznik Gozdek.

Nie zagrzałem długo miejsca w izbie, nie zdążyłem nawet usiąść, gdy rozległy się okrzyki od drzwi:

- Zbiórka! Wychodzić na zbiórkę!

Wychodziliśmy tłumnie. Kolega zmieniający koszulę szybko się ubierał.

Batalion ustawiał się kompaniami na wiejskiej ulicy. Deszcz mżył. Po chwilach spędzonych w ciepłej izbie miało się uczucie wielkiego zimna.

Było jednak przyjemnie poczuć się znowu w zorganizowanej, zbrojnej gromadzie, w szyku, z karabinami na pasach, z dowódcami kompanij konno na prawym skrzydle. Szeregi nasze były nieco przerzedzone, boleśnie czuło się nieobecność naszego poległego dowódcy pułku, ale byliśmy siłą.

Dowódca batalionu, porucznik Wądkowski, kazał ustawić się w czworobok. Z koni wygłosił do nas krótkie przemówienie. Jesteśmy otoczeni. Ale jeżeli zdobędziemy się na należyty wysiłek marszowy i będziemy szli cicho, nie robiąc hałasu, to spodziewa się, że nas z potrzasku wyprowadzi.

Była z nami bateria, czy też półbateria dział polowych oraz kilka wozów taborowych. Na wozach tych nie było żywności, tylko skrzynie z amunicją. Aby ulżyć koniom, otwarto część tych skrzyń i rozdano nam podwójną ilość amunicji. Mieliśmy teraz każdy po 150 do 200 naboju, - duże obciążenie. Pakowaliśmy je do plecaków, do chlebaków, do kieszeni.

- Czwórki w prawo zwrot! Naprzód marsz!

Ruszyliśmy w ciemność bez śpiewu, prześcigając się wzajemnie dążeniem do nie robienia hałasu.

V. RACIBORY

Maszerowaliśmy całą noc. Deszcz lał, było zimno i byliśmy głodni. Nie spaliśmy już porządnie już kilka dni i nocy. Czułem się bardzo zmęczony. Ale jedyny ratunek był w marszu. Więc maszerowałem i maszerowaliśmy wszyscy.

Pamiętam, przez dłuższy czas szliśmy wzdłuż toru kolejowego. My, piechota, szliśmy po podkładach, a działa i wozy jechały rowem, ukośnie, z jednym kołem na dnie rowu, a z drugim na zboczu nasypu. Trzeba je było podtrzymywać, by się nie wywróciły i by nic z nich nie spadło. Po torze jechać nie mogły, bo narobiłyby na podkładach za dużo hałasu.

Potem szliśmy przez jakieś polne drożyny, i po jakichś szosach. Gdy się rozwidniło, maszerowaliśmy w dalszym ciągu. Deszcz lał ciągle i było bardzo zimno, a wciąż nie mieliśmy nic do zjedzenia. Byliśmy wszyscy u kresu zmęczenia.

Pamiętam, szliśmy szeroką szosą, wysadzaną po obu stronach starymi drzewami. Deszcz lał jak z cebra. Było to już chyba po południu. Przypominam sobie tę chwilę dokładnie. Jakiś kolega poczęstował mnie papierosem.

- Ja nie palę. Jestem harcerz.

- Zapal to dobrze ci zrobi. Papieros oszukuje głód, brak snu i zmęczenie. To jak lekarstwo.

Papieros był przemoczony cały od deszczu, ale jakoś się zapalił. Wypaliłem całego. Był to pierwszy i ostatni papieros w moim życiu. Pozostało mi po nim wspomnienie głębokiego wstrętu. Nie oszukał mego głodu, nie zastąpił snu i nie złagodził mego zmęczenia.

Torsji ani nudności po nim nie miałem, ale miałem uczucie odurzenia duszącym dymem i obrzydliwego smaku w ustach. Liczne cierpienia jakie w owej chwili odczuwałem zostały pomnożone o jeszcze jedno.

Miałem później zwyczaj mówić o tym pierwszym i jedynym papierosie, iż wypaliłem go , gdy trzy doby nie jadłem, trzy doby nie spałem, trzy doby maszerowałem lub byłem na posterunku i trzy doby padał deszcz. Ta dobrze zachowana w pamięci formuła dopomaga mi do przypomnienia sobie przebiegu poprzednich trzech dni i nocy. Może jest w niej trochę przesady: deszcz padał z przerwami, jeść trochę, chociaż bardzo mało jadłem – choćby ów bób przy ognisku – i może to nie były całe trzy doby, lecz nieco mniej. Ale z pewnością oddaje ona w sposób ścisły moje dzieje w ciągu owych kilku dni i nocy.

Gdzieś po południu zatrzymaliśmy się koło jakiejś wsi. Porucznik Wądołkowski rozdzielił batalion na kompanie. Zostaliśmy rozwinięci w linie tyralierską, kazano nam położyć się na ziemi pod osłoną niewielkiej falistości gruntu; przed nami było pole obstrzału. Pamiętam, deszcz lał okropnie. Leżałem koło jakiegoś budynku, jakiejś bodaj stodoły, z której dachu strumień wody lał się prosto na mnie. Myślę, że już wydostaliśmy się z okrażenia i że kazano nam obsadzić odcinek frontu w ramach jakiejś szerszej zakreślonej obrony.

Leżeliśmy tak dość długo, ale nic się nie działo. W końcu rozluźniono rygory, wyznaczono tylko część z nas do leżenia w linii, a reszcie pozwolono odpocząć. Byliśmy tuż koło wsi. Pamiętam, że kupiłem coś sobie do jedzenia i nasyciłem choć trochę swój głód; ci z kolegów, którzy pieniędzy nie mieli, zostali przez chłopów nakarmieni za darmo. I właśnie ustał deszcz i wyjrzało zza chmur całkiem gorące lipcowe słońce.

Miałem odzież przemoczona do nitki. Rozwiesiłem kurtę i płaszcz na płocie, by wyschły i położyłem się na mokrej trawie w słońcu, ubrany tylko w spodnie i w koszulę, usiłując się zdrzemnąć. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce kazano nam się szykować do zbiórki.

Płaszcz, który rozwiesiłem podszewką w górę, trochę mi wysechł. Ale kurta była bardzo mokra i to właśnie miała mokrą podszewkę. Nieprzyjemnie było ją wkładać na wysuszoną w słońcu koszulę, więc zwinąłem ją i wsadziłem do plecaka, a ubrałem się tylko w płaszcz, nakładając na wierz pas z ładownicami i bagnetem. Już wtedy nie czyniono nam już kwestii czy był w płaszczu czy nie. Może się zresztą mylę? Nie jestem pewien.

Wkrótce ściągnięto tyralierę. Ustawiliśmy się w kolumnę marszową i pomaszerowaliśmy dalej. Szliśmy może z godzinę lub dwie. A potem znów nas rozsypano w tyralierę. Pamiętam, że mieliśmy świadomość że sytuacja jest bardzo groźna. Zdaje się, że ktoś nam powiedział, że znów jesteśmy otoczeni. Czy też może się pojawiła między nami taka pogłoska, podawana z ust do ust? Jedno jest pewne: wiadomość ta czy też pogłoska była prawdziwa.

Widnokrąg szeregowca piechoty, zwłaszcza niewyszkolonego i nie mającego doświadczenia, jest bardzo ograniczony. Nie wie, co się dzieje. Każą strzelać, to się strzela, każą maszerować, to się maszeruje, każą się położyć w tyralierze, to się leży, ale co to wszystko znaczy, zwykle się nie ma najmniejszego pojęcia. Moje opisy bitew mogą się czytelnikowi wydać bardzo niekompletne i nie dające obrazu wydarzeń. Ale ja opisuje tylko to, co sam widziałem, a nawet mniej jeszcze, to co po dziś dzień, po 38 latach pamiętam, a to jest bardzo mało. Wydarzenia historyczne oglądane, jak mówią Niemcy „von der Froschperspektive” (z żabiej perspektywy).

Ale w owej bitwie, którą zwykliśmy potem nazywać niezupełnie słusznie bitwa pod Raciborami, widziałem zdaje mi się więcej, niż przy innych okazjach, a już z pewnością więcej niż w bitwie pod Surazem i Łapami.

Leżeliśmy wzdłuż polnej drogi, tak że jej krawędź dawała nam osłonę. Mieliśmy przed sobą sporą przestrzeń, względnie pustą, choć pofalowaną. Tylko miejscami przerywały

te pusta przestrzeń kępy drzew i budynki. Dużo dalej, może na kilometr przed nami lub więcej, był las czy też zarośla, lub ginała w sadach wieś. Z tyłu przestrzeń była płaska i otwarta. Mieliśmy świadomość, że mamy bolszewików też i za plecami, ale dość daleko.

Wieczór się zbliżał, ale było jeszcze widno. Leżeliśmy w tyralierze bardzo krótko, może kilka minut, może kwadrans, gdy nadszedł rozkaz: strzelać. Podano nam numer celownika, i wskazano nam punkty, do których mamy strzelać. Ja nieprzyjaciela nie widziałem, widać leżał ukryty tak samo jak my. Ale wiedziałem dokąd mam strzelać i stosując się do rozkazu; szybki ogień, strzelałem bez przerwy. Pamiętam, że karabin mocno „kopał” przy każdym strzale, toteż ramię prędko zrobiło się obolałe. Pamiętam również mocny, przejmujący zapach prochu.

Też i nieprzyjaciel zasypał nas bardzo gęstym ogniem ręcznym i maszynowym, ale byliśmy dobrze osłonięci, więc mimo bardzo gęstego świstu kul myślę, że niezbyt wiele ponosiliśmy szkody.

Zmierzch szybko zapadał, ale wciąż widać było bardzo dobrze. Wkrótce zobaczyliśmy nieprzyjaciela.

Maszerował ku nam ogromną ławą piechoty, - nie tyralierą, ale jakby falangą, ramie przy ramieniu. Za pierwszą taką ławą widać było w pewnej odległości drugą, a potem trzecią. Czy się kładli na ziemi? Czy były się w tym ich posuwaniu przerwy? Czy szli tak cały czas bez zatrzymania? Nie umiem już dzisiaj odpowiedzieć. Został mi we wspomnieniu obraz tej straszliwej ławy, za którą szły dwie inne, maszerującej ku nam o szarej godzinie zaczynającego się zmierzchu i do której strzelaliśmy z całą zapamiętałością rozpacz i strachu. Była ich okropna ćma; w porównaniu do nich byliśmy małą garstką. Pamiętam, że sam ich widok budził uczucie okropnego leku; przerażali swoją liczebnością.

Mam we wspomnieniach wielkie luki. Pamiętam strzępy wydarzeń, jakieś chwile szczególnie mocno przeżyte, ale nie umiem ich ze sobą powiązać, nie wiem co było pomiędzy nimi, poza tym że ciągle strzelałem i strzelałem.

Pamiętam, w pewnej chwili ogień nieprzyjacielski bardzo się wzmógł i nadszedł rozkaz stopniowego cofania się. Ale trzech z nas, leżących obok siebie, jakoś nie połąpało w tym. Nagle spostrzegliśmy, że jesteśmy sami, tyraliera naszej kompanii wycofała się czołgając się, już o dobre dwadzieścia metrów w tył. Krzyknęliśmy na siebie i zaczęliśmy się wycofywać, czołgając się na brzuchach, pod bardzo gęstym ogniem. Ze strachu czołgaliśmy się niezdarnie, tak że wleźliśmy na siebie, splątaliśmy się we trzech w jedną bryłę. A wtedy jeden z nas został zabity. Tkwi mi w pamięci wspomnienie okropnego, dławiącego gardło przerażenia, gdy nogi zaplątały mi się z nogami zabitego i nie mogłem ich odplątać, a tymczasem kule padały dokoła jak grad, a kompania moja była z tyłu za mną i ciągle się stopniowo cofała. Ale odplątałem się jakoś i dogoniłem – czołgając się – kompanię. Potem leżeliśmy na polu uprawnym i strzelaliśmy – pod gęstym ogniem – ledwo odważając się dla celowania troszeczkę unieść głowę znad ziemi.

A potem przyszedł rozkaz:

- Bagnet na broń!

I znowu mam w oczach obraz. Ogień ustał, wstajemy na nogi, ściskamy w garści karabiny z nałożonymi bagnetami. Jest nas garstka. Widzę przed sobą falangę rosyjskiej piechoty, w gęstniejącym mroku jej karabiny połyskują ponurym blaskiem. Przed falangą, tuż przede mną idzie oficer. Mam go i dziś jeszcze przed oczyma jak żywego. Wygląda zupełnie jak carski oficer z wojny światowej, ubrany jest w szary szynel i w zielonkawą kaszkiet z daszkiem. Ma na sobie pas z rewolwerem i rzemień przez ramię; u rzemienia tego wisi pusta pochwa od szabli. Ma obnażoną szablę w ręku. Woła do nas:

- Słażicie arużje! (Złóżcie broń).

Słyszę w naszej linii jakieś okrzyki i nagle linia nasza załamuje się i rzuca do ucieczki. Uciekam i ja.

Nie wiem, co to były za okrzyki. Czy kazano nam się cofnąć i czy ucieczka była odwrotem na rozkaz? Czy kazano nam na przeważającego nieprzyjaciela uderzyć na bagnety, a kompania nie usłuchała i uciekła?

- Sła – żi – tie a – ru – źje!- woła rosyjski oficer jeszcze raz.

A potem widzę (chyba musiałem się za siebie obejrzeć?), że falanga rosyjska przykłęka, przymierza do oka karabiny i wali w nas salwę.

Rrrru! Rrrru! Rrrru!

Walą w nas salwami raz za razem.

Robi się zupełnie ciemno. Nie zatrzymując się, nie próbując szukać osłony, biegniemy po polu. Trawę czy też zboże mamy wyżej niż do kolan. Jesteśmy otoczeni ognikami; bolszewicy strzelają pociskami rozpryskowymi i pociski te pękają wokół nas, uderzając o ziemię i o źdźbła trawy czy też o kłosa zboża. Mam przed oczyma niesłychanie przejmujący obraz: mrok, a w tym mroku wokół siebie te ogniki, tak jak bym biegł przez pole, na którym roją się robaczki świętojańskie.

Mnóstwo nas upadło, ale reszta biegnie. Ogarnęła nas zupełna panika. Ktoś krzyczy:

- Rzucac plecaki!

Czy to rozkaz oficera, lub podoficera? Czy też czyjś pomysł dyktowany paniką?

Widzę kolegów rzucających plecaki i za ich przykładem rzucam i ja. Ale oni są w kurtkach, a ja jestem w płaszczu. Długi bardzo płaszcz płacze mi się pod kolanami, a zboże utrudnia biegnięcie. Jestem tak owładnięty paniką, że zachowuje się z bezprzykładną bezmyślnością. Odpinam sobie pas, zdejmuję płaszcz i rzucam go. Ponieważ kurtkę miałem przemoczoną w plecaku, więc biegnę teraz w samych spodniach i koszuli, trzymając w jednej ręce karabin z wciąż nałożonym bagnetem, a w drugiej pas z ładownicami i pustą pochwą od bagnetu.

- Idiota – woła za mną podoficer – w białej koszuli lepiej was widać niż w ciemności.

Nagle uświadamiam sobie, jakie głupstwo zrobiłem. – Przez chwilę chcę zdjąć z siebie koszulę i biec obnażony do pasa, ale potem nagle przychodzę do przytomności i daję temu pokój. Owładnięty jestem uczuciem beznadziejności. Co będzie to będzie.

Bolszewicy nas nie gonią, tylko wciąż do nas strzelają. Wciąż otaczają nas robaczki świętojańskie rozpryskujących się pocisków, ale w miarę powiększającej się odległości strzały są mniej celne.

Biegniemy co sił; śledziona mi gra ze zmęczenia. Mam uczucie, że jeśli mnie kula nie trafi, to za chwile padnę trupem, powalony śmiercią naturalną.

Mamy świadomość, że biegniemy w stronę innych formacji bolszewickich. I to jest z pewnością prawda, bo w pewnej chwili zaczynają wśród nas świstać kule z innej strony, z przodu, trochę na ukos, na krzyż z ogniem dotychczasowym. Widzimy także w oddaleniu przed sobą, poprzez ciemności, oddziałek kawalerii. Kozacy!

Ale jednak biegniemy w ich stronę. Jesteśmy w potrzasku i nieprzyjaciel bardziej oddalony wydaje się mniej groźny od nieprzyjaciela bliskiego.

Byłem zupełnie pewien, że za chwilę zginiemy. Poczulem wtedy w sposób zupełnie namacalny bliskość zaświatów. Było to coś jakby zjawy senna: poruszałem się w życiu normalnie, biegłem, czułem okropne zmęczenie i brak tchu, trzymałem w garści karabin i równocześnie z mozołem na nowo nakładałem na siebie na spodnie i na koszulę, pas z ładownicami, ale wszystko to było jakby nierzeczywiste, jakby przyśnione czy urojone. A równocześnie poprzez tę rzeczywistość namacalnego świata przeświecała jakby inna rzeczywistość, odrębna od niej, nie mająca z nią nic wspólnego. Przeświecała przez nią i przecinała się z nią. Tak właśnie, jak światło lampy przecina się, krzyżuje, wzajemnie przeświecła smugę blasku księżyca istniejącą niezależnie od niej. Było w tym coś przerażającego. Otaczająca mnie rzeczywistość doczesna – owa ciemność i robaczki

świętojańskie rozpryskujących się kul ekrazytowych i otaczający nas pierścień nieprzyjaciół, i to okropne zdyszenie, ten ból śledziony, - była już dostatecznie straszna. Ale w porównaniu do niej ten przebłysk zaświatów był czymś nieporównanie bardziej straszniejszym. Mimo, że biegłem, odmawiając w przerażeniu modlitwy, myślę że w ową noc otarłem się o odbłask piekieł.

Otarłem się o śmierć kilka razy w życiu. Wtedy jednak otarłem się chyba najbliżej. Pamiętam, w 19 lat później, w roku 1939 na Helu, leżałem na dnie rowu przeciwlotniczego, a samoloty niemieckie zamiatały karabinami maszynowymi po grupie tych rowów. Gdy linia kul przedziurawiła piasek o kilka centymetrów ponad moją głowę, pomyślałem nagle, że pewnie za chwilę zginę. I wtedy również otarłem się o zaświaty, o tę inną rzeczywistość. Ale dziwna rzecz; myśl ta mi zabłysła we mnie uczuciem radosnym; za chwilę zobaczę mego ojca zmarłego przed rokiem. Kto wie? Może dlatego, że byłem wtedy lepiej na śmierć przygotowany? Ze chodziłem często do komunii świętej? A tamtym razem, w roku 1920 – tym, w moim ostatnim roku gimnazjalnym, przechodziłem okres buntu i może byłem obarczony nie zgładzonymi grzechami, zamykającymi drogę do zbawienia? Może istotnie stanąłem wówczas nie tylko u wrót śmierci, lecz może i u wrót piekła? My lekceważymy sobie to, co nam grozi po śmierci, a jednak kto wie, czy liczba tych, co pójdą do piekieł, jest większa aniżeli przypuszczamy...

Ale może to było urojenie? Może to naprawdę był tylko jakby sen na jawie?

Sen ten rozwiął się w jednej chwili – w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Zostaliśmy nagle zelektryfikowani przez przenikliwy gwizd. Poprzez ciemność dojrzeliliśmy w stronie, skąd ten gwizd było słychać, pióropusz białej pary.

Okazało się, że biegniemy w stronę toru kolejowego, który zagradza nam drogę w odległości kilometra czy dwóch. Po torze tym poruszał się pociąg pancerny. Nasz!

Kozacy znikli z naszych oczu, przepłoszeni przez ten pociąg – i bodaj przez karabiny maszynowe. Zdwoiliśmy nasze wysiłki i biegliśmy dalej bez tchu.

Wkrótce zobaczyliśmy, że pociąg staje. Składał się on z opancerzonej lokomotywy w środku, z kilku opancerzonych wagonów wyszczerzonymi paszczami dział i karabinów po obu jej stronach i z dwóch płaskich pustych platform na obu końcach.

Bez tchu dobiegliśmy do toru. Z całego rozległego pola biegła ku zbawczemu pociągowi jakby linia tyralierska ocalonych resztek poszczególnych kompanii naszego batalionu.

Pociąg widział nas i czekał na nas. Przez uchylone strzelnice patrzyły na nas przyjazne oczy.

- Władźcie na lory.

Wdrapywaliśmy się na obie platformy. Nie było nam nawet na nich zbyt ciasno. Tyłu nas tylko z całego batalionu zostało...

W bitwie tej stopnieliśmy do małej garstki. Ponieśliśmy straty ogromne. Tak na przykład z dwóch pozostałych jeszcze przy życiu oficerów naszej kompanii zginęli w tej bitwie obaj. Także i dowódca batalionu, porucznik Wądołkowski zdaje się że zginął w tej bitwie. Ale może się mylę, może zginął dopiero w następnej, pod Poprocią.

Byłem w spodniach i koszuli, więc było mi bardzo zimno, ale od razu na tej platformie ze zmęczenia zasnąłem. Tuliliśmy się do siebie dla ciepła: płaszczów już przeważnie nikt nie miał, bo poupadały razem z plecakami. A tymczasem pociąg pancerny jeździł tam i z powrotem po torze. Trzymał bolszewików w przyzwoitej odległości swoim ogniem. Od czasu do czasu zatrzymywał się i zbierał wciąż ściągających w stronę toru rozbitków, wśród nich wielu lżej rannych. Niektórzy nawet tacy co poupadali, widząc że pojawił się pociąg, powstawali i dowlekli się do niego. Rany zresztą w tej bitwie odnoszono bardzo ciężkie: kule rozpryskowe nie przeszywały ciała, lecz rozrywały się w nim, robiąc wielkie wyrwy.

Opowiadano mi już coś w rok po wojnie, gdy po traktacie ryskim jeńcy wrócili z bolszewickiej niewoli, że po tej bitwie – czy też może po bitwie pod Paprocią – bolszewicki lekarz chodził z sanitariuszami po pobojowisku z rewolwerem i dobijał ciężiej rannych strzałem w głowę, a opatrywał i kazał odnieść lżej rannych. Młodziutki harcerz, od którego opowiadanie pochodzi, opowiadał (nie mnie, lecz komuś od kogo to wiem), że miał przestrelone płuco, ale nie kulą rozpryskową, lecz zwykłą. Widział jak lekarz jednych dobijał a innych zabierał. Gdy lekarz podszedł do niego, on się wyprężył i podźwignął, by pokazać, że nic mu nie jest. Lekarz wahał się chwile, a potem powiedział:

- Nu charaszto, wezmę ciebie.

Temu samemu chłopcu sanitariusze bolszewicy skarżyli się, że boją się podchodzić do polskich rannych, bo polski ranny żołnierz, nawet gdy leży i umiera, gotów jest jeszcze do bolszewika zdradziecko strzelić, tacy są zawzięci. Tego chłopca bolszewicy wzięli do szpitala i wyleczył się. W rok potem wrócił do Polski w czasie wymiany jeńców.

Jeździliśmy po torze dość długo. Pociąg został zdaje się umyślnie wysłany po to, aby przyjść naszemu batalionowi z pomocą. Ja niewiele widziałem, bo co chwila zapadałem w drzemkę, ale czasem się budziłem, właśnie wtedy, gdy pociąg stawał, i nowi ludzie włączali na platformy. W końcu pociąg zawrócił na dobre. Zajechaliliśmy na jakąś małą, pogrążoną w mroku stacyjkę. Noc była już późna.

- Wysiadać!

Zaspani złąziliśmy z platform.

- Zbiórka!

Resztki naszej kompanii zbierał plutonowy, student politechniki, dowódca trzeciego plutonu, ten sam co mnie skarcił za wyrzucenie płaszcza. Był nas zaledwie nędzny plutonik. Wyprowadził nas na porośniętą trawą plac koło stacji.

Pięknie się jako żołnierz prezentowałem! Byłem w spodniach i koszuli, w pasie z ładownicami i karabinem. Nawet czapki nie miałem, bo spotkała mnie jeszcze jedna klęska, zgubiłem ją w pociągu. Gdyby istniała już wtedy w literaturze i była mi znana postać Szwejka, byłbym mógł uznać siebie za jej uosobienie.

- W kozły broń!

Tuż poza linią kozłów położyliśmy się taką samą jak ona równą linią, jeden przy drugim, na gołej trawie. Było mi straszliwie zimno bez żadnego nakrycia. Ale usnąłem od razu jak kamień.

VI. OSTRÓW MAZOWIECKA

Nie pamiętam już, jak się ta stacja nazywała. Może to ona właśnie nazywała się Racibory? Albo może nasza bitwa, którą nazywaliśmy potem bitwą pod Raciborami, miała miejsce koło stacji następnej? – Wiem, że stacja kolejowa tej nazwy na linii Warszawa – Białystok istnieje.

Stacja, na którą przyjechaliliśmy pociągiem pancernym, była jeszcze w sposób oczywisty na terytorium ręką jako tako pewną utrzymanym przez wojsko polskie. Czuliśmy na tej stacji, że jesteśmy bezpieczni, że że ktoś nas odgradza od nieprzyjaciela i że możemy tu spokojnie odpocząć. Jeżeli mnie pamięć nie myli, dostaliśmy na tej stacji także i porządny posiłek.

Nie pamiętam, kiedy się obudziłem i co bezpośrednio po tym robiłem. Pamiętam natomiast rzeczy następujące.

Czułem się tak zmęczony i chory, że nie wyobrażałem sobie, bym mógł dalej maszerować. Po stacji kręcił się lekarz naszego batalionu, młody człowiek w stopniu podporucznika, przypuszczam że chyba raczej student medycyny niż naprawdę lekarz. Poszedłem do niego i powiedziałem, że jestem chory. Nie badał mnie, popatrzył tylko na

mnie i powiedział, że daje mi trzydniowy urlop wypoczynkowy, który mam spędzić z taborem naszego batalionu, jadąc na wozie. Taki sam urlop dał mojemu przyjacielowi i dawnemu koledze z Petersburga, Julkowi Tomaszewskiemu. Wypisał nam formalną przepustkę, jedną na nas dwóch, z rozkazem udania się do taborów.

Pamiętam także, że na stacji stał pociąg szumnie zwany pociągiem sanitarnym. Był w jego składzie wagon Białego Krzyża, w którym jakieś panie gotowały kakao i rozdawały po gorącym kubku każdemu żołnierzowi, który się zgłosił. Reszta wagonów to były wagony towarowe, w których na słomie układano rannych. Jeden z wagonów, także zwyczajny wagon towarowy, stanowił salę operacyjną, w której starszy wiekiem lekarz w mundurze wojskowym opatrywał rany i przeprowadzał operacje. Stał on po prostu na peronie stacji, a ranni leżeli na podłodze wagonu w jego otwartych drzwiach. Przez dłuższą chwilę przypatrywałem się jego robocie, czekając na coś, nie pamiętam już na co. Nie odpowiedział mi; zdaje się że mu coś pomagałem lub t.p.

Pamiętam, widziałem, jak opatrywał nieprzytomnego, mającego przestrzeloną czaszkę. Ogolił mu okolice rany z włosów, usunął brud z rany, przez którą, przez przebitą czaszkę, widać było mózg, coś powycinał różnymi narzędziami i nałożył opatrunek. Opatrywał także lżej rannych, mających przestrzelone ramiona i t.p.

W trakcie, gdy jakiemuś rannemu zakładał złamane ramię w łupki, przyszedł, opierając się na kij, nowy ranny prosto z pola bitwy i poprosił o opatrunek. Był to, jak mi się wydało, starszy człowiek. Myślę, że dziś określiłbym go jako człowieka w średnim wieku.

- Niech pan siądzie i zaczeka.

Na peronie leżała obok wejścia do wagonu jakaś skrzynia. Ranny usiadł na niej, założył sobie noga na nogę, zapaliła papierosa i cierpliwie zaczekał, aż lekarz skończy opatrywać poprzedniego pacjenta.

Gdy lekarz skończył, zwrócił się do niego.

- Co panu jest?
- Mam przestrzelony brzuch.
- Niech pan pokaże.

Żołnierz rozpiął kurtę i spodnie i pokazał nagi brzuch. W samym jego środku widniała mała dziurka, przez którą żółtą barwą przeświecały wnętrzości. Kula wyszła mu przez plecy.

- Czemu pan od razu nie powiedział! To jest ciężka rana, byłbym pana opatrzył najpierw.
- Nie szkodzi.
- Kto pana przywiózł?
- Sam przyszedłem.
- Z daleka?
- Kilka kilometrów.

Zanim odszedłem, widziałem jeszcze, że doktor przed zabraniem się do opatrzenia mu rany dał mu się napić jodyny. Wytrzymałość tego człowieka, jego spokojny, nie zdradzający bólu ani zmęczenia wyraz twarzy, zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

Taborów naszego pułku w najbliższej okolicy nie było, rzekomo wyruszyły one w kierunku miasta Zambrowa i tam mogliśmy je dogonić. Nie pamiętam już, czy sprawiła to decyzja doktora, lub jakichś innych władz, czy też nasza własna przedsiębiorczość, dość że obaj z Julkiem, zaopatrzeni w naszą przepustkę, wsiedliśmy na wojskowy ciężarowy samochód jadący do Zambrowa, po to, by się tam zameldować w taborach.

Podróż nasza była długa i pełna przygód. Szosa była pełna cofających się taborów wojskowych i uciekającej ze swoim dobytkiem ludności cywilnej, często więc samochód poruszał się żółwim krokiem, lub po prostu stał, czekając na uwolnienie się drogi. Gdyśmy przejeżdżali przez miasto Wysokie Mazowieckie, natknęliśmy się tam na ogólną panikę:

podobno kolumna kozaków pojawiła się w pobliżu miasta. Setki wozów pędziły co koń wyskoczy przez miasto i poza miastem, furmani stali na kozłach i okładali konie niemiłosiernie batami. A po obu stronach ulicy biegli z równie wielkim pośpiechem ludzie piesi. Utkwiła mi w pamięci sylwetka siwego, zasuszonego, zdyszanego sierżanta, w pełnym galopie uciekającego z miasta na piechotę, bez broni, ale ze skórzaną teczką. Żał mi go był i gdyby to od nie zależało, byłbym go zaprosił na samochód, ale zależało to zgoła nie ode mnie.

Mimo zatoru na ulicach i szosie samochód nasz w okresie owej paniki bardzo skutecznie wymijał i wozy i ludzi i mknął naprzód pełną swą szybkością, pozostawiając za sobą zarówno masę uciekających, jak możliwy pościg kozacki. Miałem wówczas przekonać się namacalnie, jak wielka różnica zachodzi, zwłaszcza na wojnie, między samochodem jako środkiem lokomocji a nogami ludzkimi lub koniem.

Przyjechaliśmy do Zambrowa późną nocą. Szofer nasz zatrzymał się na jakimś sporym placu i po prostu powiedział nam, że mamy wysiąść. Było to całkiem zrozumiałe: byliśmy u celu. Byliśmy bardzo zmęczeni i śpiący. Podróż o tyle była wypoczynkiem, że nie potrzebowaliśmy maszerować, ale niepokoju było w tej podróży zbyt dużo, by można było spać. Jak dotychczas, urlop nasz raczej powiększył niż zmniejszył nasze zmęczenia.

Miasteczko było pogrążone w ciemnościach i ciszy. Stały tam i inne jakieś samochody ciężarowe; spali na nich jacyś żołnierze, oraz leżał na jednym z nich trup zabitego. Bezradni rozglądaliśmy się w ciemnościach, jakby tu zasięgnąć języka. Znaleźliśmy wreszcie kogoś, kto nie spał.

Czy są tu tabory z 201 pułku piechoty? Nie, nie ma w mieście żadnych taborów. Czy były? Bo ja wiem. Chyba nie były. Może przyjdą jutro.

Nic nie mogliśmy zrobić. Co tu wymyślić? Chyba przespać się, doczekać się rana i rozpytać się jutro?

Było mi w nocy okropnie zimno z gołą głową i w samej koszuli i spodniach. W jakimś drewnianym domku świeciło się światło i drzwi były otwarte. Był to żydowski sklepik. Weszliśmy.

Stara Żydówka kręciło się po sklepiku i mieszkaniu. W bocznym pokoju kilku oficerów leżało na podłodze i spało. Dodało nam to otuchy. Oficerowie powinni wiedzieć, co się dzieje; jeśli się tu prześpimy, to chyba mamy gwarancję, że nie dogonią nas tu bolszewicy.

- Panowie oficerowie śpią. Kazali się obudzić o czwartej rano.

- To my też się prześpimy. Niech nas pani obudzi w tym samym czasie co panów oficerów. A jakby wstali wcześniej, to niech nas pani obudzi od razu. Chcemy wstać razem z nimi.

- Dobrze, dobrze, ja będę uważać. – Cmokała nade mną ze współczuciem. – Cy, cy, pan taki młodziutki... ja też mam syna na wojnie, wzięty z poboru.

Położyliśmy się na podłodze w przedpokoju.

- Pan tak bez płaszcza... To zimno!

Ledwo się rozciągnąłem na ziemi – a już usypiałem. Ostatnim drgnieniem świadomości stwierdziłem, że Żydówka przyniosła stary chałat i nakryła mnie nim. Obudziła nas sumiennie nad ranem, gdy było jeszcze ciemno.

- Panowie oficerowie wstają i wychodzą.

Nieszczególnie wypoczęci wstaliśmy, podziękowaliśmy i wyszli. Nie pamiętam już okoliczności, jak to się stało, ale znaleźliśmy nasz tabor od razu. Olbrzymie tabory przejeżdżały przez Zambrów; były i w nich tabory 201 pułku piechoty, a w nich tabory i naszego batalionu, a w nich wozy naszej kompanii. Okazaliśmy naszą przepustkę i pozwolono nam wsiąść na jeden z wozów.

Było nam na tym wozie jak w raj. Duży, zaprzężony w dwa konie, był załadowany zapasowymi płaszcami. Od razu położyłem się na nich jak na miękkim pościeliu, nakryłem się kilku płaszcami i usnąłem spokojnym i beztroskim snem człowieka na urlopie. Budzono

mnie w ciągu dnia parę razy – tylko po to, aby dać mi jeść. Posiłki w taborach wydawano normalnie i w normalnych porach. Po długich dniach wielkiego głodu najadłem się teraz do syta. A po każdym posiłku znowu wyciągałem się na wozie i znowu zasypiałem.

Taborzy jechały szeroką szosą, tworzącą prostą jak strzelił linię komunikacyjną, zapewne zbudowaną dawnymi czasy dla celów strategicznych, Zambrów – Ostrow Mazowiecka. Biegnie ona przez większą część drogi krajem otwartym, ale tuż przed Ostrowią przecina ją smuga wielkich lasów. Pas tych lasów, o ile mogę ocenić na oko, miał chyba głębokość jakichś pięciu albo sześciu kilometrów.

Zbliżał się już wieczór i słońce zachodziło, gdy obudziło mnie zatrzymanie się wozów. Jakiś niepokój szedł przez tabory. Jak okiem sięgnąć w przód i tył szosa była zapchana wozami. Wszystkie były zwrócone frontem ku Ostrowii i wszystkie stały. Wielkie lasy zagradzały nam drogę. Czoło taborów sięgało tych lasów.

Usiadłem na wozie.

- Czemu stoimy?

Odpowiedź przyszła sama. Od czoła, od skraju lasów, posypała się gęsta palba karabinowa. Wyjaśniło się, że bolszewicy są w lesie. Podobno zajęchał tu silny oddział kawalerii bolszewickiej i zagroził taborom drogę odwrotu w kierunku Ostrowii.

Robiło się chłodno. Nie zastanawiając się nad tym co robię, nałożyłem na siebie jeden z płaszczów. Nawiasowo mówiąc miałem z tym później nieprzyjemności. Okazało się, że był to płaszcz furmana wozu. Także i płaszcz zapasowego nie miałem prawa brać bez pozwolenia, ale tym gorzej było, że zabrałem osobisty płaszcz furmana. Miał on później do mnie uzasadnioną pretensję; uważał, że mu ten płaszcz ukradłem. Ale ja naprawdę nie zamierzałem tego płaszcza zabierać. Ubrałem się weń, gdy siedziałem na wozie, bo mi było zimno, a potem zapomniałem go oddać.

Podporucznik wojsk taborowych jechał wzdłuż taboru na koniu.

- Wszyscy oprócz furmanów zsiadać z wozów! Zbiórka!

Ludzi właściwie nie należących, różnych chorych, pogubionych, szukających swoich oddziałów, jechało na wozach całkiem sporo. Zebrała się nas spora gromadka. Wszyscy mieliśmy broń. Także i my dwaj z Julkiem Tomaszewskim wyjechaliśmy na nasz urlop z karabinami i ładownicami.

Oficer uformował nas w oddział i szybkim krokiem poprowadził wzdłuż taboru w stronę lasu. Jakieś inne oddziały, nie wiem czy regularne czy tak samo zaimprovizowane i złożone z takiej jak my zbieraniny, były się na skraju lasu, starając się odpędzić oddziały bolszewickie zamykające szosę. Nasz oficer poprowadził nas do lasu w lewo, dość daleko od szosy, jakby chcąc zejść bolszewikom przy szosie drogę od tyłu.

Ściemniało się gdyśmy spiesznym krokiem szli wzdłuż rozciągniętego na długiej przestrzeni taboru, a noc zrobiła się zupełnie ciemna, gdyśmy wchodzili do lasu. Spędziliśmy w tym lesie całą noc, niemal do świtu.

Wspomnienia moje z tej nocy są chaotyczne. Nie umiem opowiedzieć po kolei, co się działo. Ogólne wrażenie jest to, że było w tym lesie, w ciemnościach i nocy, wiele zamieszania, że poszczególne polskie oddziały strzelały czasem do siebie ale że w sumie mieliśmy na ogół poczucie, że zadanie nasze spełniamy skutecznie. I spełnialiśmy je rzeczywiście, bo zdołaliśmy oczyścić poblizze szosy od nieprzyjaciela i zdołaliśmy tabor szczęśliwie przez las przeprowadzić. Przypuszczam że nieprzyjaciel nie musiał być zbyt silny, skoro daliśmy mu radę takimi zaimprovizowanymi siłami. Myślę, że musiał to być silny podjazd kozacki, spieszony i działający pod osłoną lasu i ciemności.

O ile pamiętam, operowaliśmy najpierw w lesie dość daleko w lewo od szosy, potem szliśmy przy samej szosie., osłaniając posuwające się naprzód wozy całkiem z bliska, a w jeszcze innym momencie szliśmy po szosie z przodu, gdy czoło taboru było z tyłu daleko za nami, i sprawdzaliśmy, czy tabor może się posuwać.

Z nieskoordynowanych obrazków, jakie mi we wspomnieniu i z tej pełnej wrażeń nocy pozostały, wymieniałbym co następuje, nie w kolejności chronologicznej, bo ustalić takiej kolejności nie potrafię.

Razem z kilkoma kolegami wziąłem jeńca. Nie pamiętam, czy było to na szosie czy na jakiejś bocznej drodze w lesie. Słyszeliśmy, że ktoś idzie po drodze. Przyczailiśmy się w cieniu krzaków przydrożnych i gdy zbliżył się do nas, wyskoczyliśmy na niego, łapiąc za kark i mówiąc:

- Zdawajścia! (Poddaj się).

Był bardzo młody, chyba w moim wieku, i bardzo się przestraszył. Ubrany był dość porządnie, w siwy „szynel”, taki sam jak w wojsku carskim, w buty z cholewami i w czapkę z daszkiem. Miał krótki karabinek kawaleryjski. Odesłaliśmy go jako cenne źródło informacji do taboru, do oficera.

W stronie, z której ten jeńiec przyszedł, słyszeliśmy gęste rżenie koni. Domyślaliśmy się, że spieszeni kozacy tam swe konie pozostawili. Chcieliśmy na te konie i na koniowodów uderzyć, ale jakoś do tego nie doszło.

Bardzo dramatyczna była chwila, gdy szliśmy wzdłuż szosy obok posuwających się wozów i gdy nagle ukryty w lesie nieprzyjaciel, nie z lewej ale z prawej strony otworzył na te wozy gęsty ogień, wznawiając odparte poprzednio natarcie. Konie padały zabite, inne stawały dęba lub zaczynały pędzić galopem, wywracając wozy, łamiąc koła, trając ludzi i tworząc na drodze zatory. Ale jakoś przepędziliśmy napastników; nie był to wielki atak, tylko zrobiony w ciemności złośliwy figiel. Strzelali póki nie narobili zamieszania, ale gdy jako taki ogień zwrócił się przeciwko nim, od razu się wycofali.

To było zdaje się w związku z tym, choć może później, gdy natknąłem się na grupę siedmiu czy ośmiu trupów naszych żołnierzy, najwyraźniej zaskoczonych z tyłu i wystrzelanych strzałami w plecy. Szedłem lewym rowem, mam wrażenie, że wozy szosą nie jechały; a może to nie była główna szosa, lecz jakaś boczna droga, może ta, na której wzięliśmy jeńca? Było nas kilku. Zobaczyliśmy nagle, że w rowie leży tyraliera żołnierzy w naszych mundurach i pilnie mierzy z karabinów w las. Zawołaliśmy coś do nich z cicha, ale nie odpowiedzieli. Podeszliśmy bliżej i dopiero wtedy zobaczyliśmy, że to trupy. Mierzyli w lewo, a nieprzyjaciel widocznie zaszedł ich z tyłu i zniemacka otworzył ogień zanim zdążyli się odwrócić.

Myślę, że zabili ich bolszewicy, a nie jakaś omyłkowa strzelanina polska. Ale jest faktem, że spotkały się w tym lesie także i nasze patrole i strzelały do siebie. Zdarzyła się taka przygoda i mnie... Szedłem przez las, gdy nagle ktoś do mnie strzelił z ziemi z odległości dwóch kroków, ale chybił. Aż mi świeczki stanęły w oczach i od huk i od nagłego błysku prosto w oczy. Skoczyłem do niego, by go przebić bagnietem, ale w ostatniej chwili zobaczyłem, że to nasz. Leżał na ziemi na pół osłonięty pniem drzewa. Był to jakiś starszawy człowieczek, pierwszy raz w ogniu i kompletnie zdezorientowany, Pewnie jakiś biuralista, albo nauczyciel; wystraszony nie tylko strzelaniną, ale i lasem i nocą. Myślał, że jestem bolszewik i strzelił. Gdy zobaczył swą pomyłkę, przeproszał mnie takim tonem, jakim przeproszałby sąsiada w restauracji, na którego wylał talerz z zupą.

W ogóle była to noc pełna zamieszania. Ale w chaosie wydarzeń tej nocy, wydarzeń, których ciągu ani dzisiaj nie potrafię odtworzyć, ani nawet wówczas nie ogarniałem zrozumieniem, była jednak wyraźna nić przewodnia; stopniowo przeprowadzaliśmy wielki tabor przez lasy.

Nadeszła wreszcie taka chwila, że doszliśmy do skraju lasu. Za lasem było puste pole, a po dwóch lub trzech kilometrach tego pola skraj miasta Ostrowi Mazowieckiej.

Szła nas grupka drogą, osłaniając część taboru. Zaczynał się pierwszy brzask, gdy doszliśmy do skraju miasteczka. Przed miasteczkiem leżała w polu tyraliera. Widocznie słyszano w oddali strzelaninę i wyprowadzono dla osłonięcia miasta jakąś miejscową

kompanię wartowniczą. Była tego może z setka żołnierzy, wszystko ludzie niemłodzi, ubrani we francuskie hełmy szturmowe i w płaszcze i mundury francuskiego pochodzenia, koloru „bleu horizon”. Hallerczycy.

Oficer taborowy wydał naszej grupce rozkaz dołączenia do tej kompanii. Jej dowódca kazał nam położyć się w tyralierze razem z jej żołnierzami. Leżeliśmy w polu, trochę osłonięci falistością gruntu, a przez ten czas noc rzedła i zamieniała się w świt. Tabory jechały drogą i jechały, aż w końcu przejechały wszystkie. Zostaliśmy się z kompanią hallerczyków w Ostrowi Mazowieckiej.

Leżeliśmy tak może jeszcze z godzinę, aż w końcu zaczęliśmy się niecierpliwić. Nie po to opuściliśmy na trzy dni nasz batalion, by przyłączyć się do kompanii hallerczyków. Obaj z Julkiem Tomaszewskim (bo i on tu był) zwróciliśmy się do dowódcy kompanii pokazawszy mu naszą przepustkę od doktora batalionowego, prosiliśmy go, by nas zwolnił. Uznał słuszność naszej prośby i zwolnił nas bez żadnych ceregieli.

- Ale tabor odjechał. Gońcie go prędko.
- A dokąd odjechał?
- Za Bug.

Weszliśmy do miasta. Miasto było uśpione. Rozpytaliśmy się jednego z nielicznych przechodniów, którydy wiedzie droga do Bugu.

- Do Bugu? Są dwie drogi. Jedna na Brok, a druga na Wyszaków. Oba te miasteczka są nad Bugiem.
- A gdzie bliżej?

Do Broku było coś ze dwanaście kilometrów, do Wyszakowa coś ze 35 do 40 kilometrów.

- Nie widział pan taborów? Którą drogą poszły?
- Nie widziałem.

Pewnie spał. Naradziliśmy się ze sobą co robić. Było dla nas jasne, że trzeba iść do Bugu najkrótszą drogą. Inaczej bolszewicy gotowi nas jeszcze dogonić. Ruszyliśmy w drogę szparkim krokiem. Było jeszcze dość wcześnie rano, gdy byliśmy w Broku.

- Czy przechodziły tu duże tabory?
- Tabory? Nie widzieliśmy żadnych taborów.

Nie było w miasteczku żadnego wojska. Nikt nic o niczym nie wiedział. Usłużni ludzie zaprowadzili nas do urzędu gminnego. Tam tyle tylko że pokazano nam mapę. Przekonaliśmy się z niej, że popełniliśmy błąd. Myśleliśmy, że Bug, tak jak na większej części swego biegu, płynie tu z południa na północ. Ale okazało się, że jesteśmy już za kolanem Bugu, od którego biegnie on już ze wschodu na zachód. Dzień był mglisty, nie przyszło nam na myśl, że nie idziemy na zachód, tylko na południe. Front w tej okolicy musiał z grubsza biec nie równoległe do Bugu, lecz prostopadle do niego, a więc idąc do Broku nie oddalaliśmy się od frontu, lecz szliśmy równoległe do niego.

Nie było rady. Chcąc dogonić nasz tabor, musieliśmy iść do Wyszakowa. Niepotrzebnie nadłożyliśmy drogi. Nie chodziło już o tabor jako cel sam w sobie. Był to trzeci i ostatni dzień naszego urlopu. Ale odnalezienie naszego taboru było dla nas jedynym sposobem odnalezienia naszego batalionu.

Byliśmy bardzo głodni. Ale ja miałem w kieszeni od spodni portfel z pieniędzmi, a nikt nie wydawał żadnych rozkazów, byliśmy więc sami panami swego czasu. Zaszliśmy w Broku do oberży, zjedliśmy porządne śniadanie, kupiliśmy chleba i kiełbasy jako zapas na drogę i ruszyliśmy lewym brzegiem Bugu w pochód. Nie było na lewym brzegu rzeki żadnej większej drogi, a baliśmy się iść prawym brzegiem. Szliśmy po prostu polnymi drogami, albo nawet ścieżkami samym brzegiem rzeki. Był to ogromny morderczy marsz. Wykonaliśmy go w ciągu jednego dnia. Pamiętam, że opowiadałem potem nieraz, iż w tym dniu po

nieprzespanej nocy i po całonocnej bitwie zrobiliśmy piechotą około 50 kilometrów, a może więcej. A z Ostrowi do Broku zrobiliśmy rano koło 12 lub 13 kilometrów.

Dzień zrobił się piękny i gdyby nie strach i zmęczenie, byłaby to piękna wycieczka. Zapamiętałem z niej niewiele. Pamiętam, że mi chłopci w którejś wsi dali cywilną czapkę: byłem już w płaszczu, ale z gołą głową, podczas gdy Julek był bez płaszcza, ale za to w czapce i kurtce. (Obaj ponadto byliśmy w pasach z ładownicami i mieliśmy karabiny). Czapka służyła mi potem przez resztę kampanii.

W pewnym miejscu spotkaliśmy patrol kozacki. Byli na koniach, po przeciwnej stronie rzeki, było ich coś pieciu czy szesciu. Stali na brzegu rzeki i wołali i wołali po rosyjsku poprzez rzekę, by im podać czółno uwiązane na naszym brzegu. Widząc ich, cieszyliśmy się, że nie poszliśmy prawym brzegiem. Oni nas nie widzieli, bo byliśmy schowani za drzewami, wołali na jakichś chłopów, którzy się zresztą ze spełnieniem ich rozkazu nie spieszyli. Czy przeprawili się ostatecznie na nasz brzeg, nie wiem. Nie myślę, by mieli zamiar robić na naszym brzegu poważny rekonesans, bo w takim razie przepłynęli by rzekę w pław, razem z końmi. Do czółna przecież wziąć koni nie mogli, mogli tylko wysłać czółnem dwóch, trzech ludzi spieszonych.

Blisko celu naszego marszu natknęliśmy się na przeszkodę w postaci rzeki Liwiec. Nie było w pobliżu ani mostu ani łodzi, więc rozebraliśmy się i przeszliśmy w bród. Pamiętam, że odczułem to zanurzenie się w wodzie jako prawdziwą przyjemność. W najgłębszym miejscu woda sięgała nam mniej niż do pasa.

Zaraz za Liwcem było miasteczko Kamieńczyk. W miasteczku tym natknęliśmy się po raz pierwszy, ku wielkiej naszej radości i uldze, na polskich żołnierzy. Dopiero teraz, odkąd opuściliśmy Ostrów Mazowiecką, dotarliśmy znowu na terytorium znajdujące się we władzy naszego wojska i nie będące krajem niczym. Pamiętam, że spotkaliśmy w Kamieńczuku, starszego księdza, zdaje się miejscowego proboszcza, i mieliśmy z nim dłuższą, bardzo ciekawą rozmowę, ale zupełnie już nie pamiętam co było jej treścią.

Tabory nasze stały blisko Wyszkowa, nieco na południe od rzeki, przy szosie Wyszków – Radzymin. Ktoś nam o tych taborach powiedział i zdaje się, że nas jakaś fura czy bryczka do nich podwiozła. Dotarliśmy do nich późnym wieczorem. Odnalazszy wozy naszej kompanii, powiedziałem któremuś z żołnierzy taborowych, że w zamieszaniu bitewnym poprzedniego wieczora zabrałem z woza płaszcz i teraz o tym lojalnie melduje. Żołnierz ten, zamiast skierować mnie do właściciela bym mu oddał sam, zawołał go po nazwisku:

- Panie Iksiński (nie pamiętam jego nazwiska). Niech no pan idzie!
- Co takiego?
- Znalazł się pański płaszcz. Ten młody człowiek go wziął.

Wyglądało to, jakby on mnie na tym przyłapał i oddał mnie jako winowajcę we ręce właściciela. Było to bardzo nieprzyjemne. Właścicielowi zależało na tym płaszczu, bo był duży, a on był wysokiego wzrostu. Inne płaszcze były mniejsze. Zostałem z płaszczem rozebrany. Znowu znalazłem się w spodniach i koszuli. Tyle tylko, że w czapce.

Byliśmy ogromnie zmęczeni i przespaliśmy tę noc kamiennym snem. Także i następnego dnia spaliśmy przez dużą część dnia, bo choć nasz urlop się skończył, tabory nie wiedziały gdzie jest nasz pułk, więc musieliśmy taborów trzymać. Tabory zresztą stały cały czas na jednym miejscu.

Ale po południu nadeszła wiadomość, że pułk przekroczył w Wyszkowie most na Bugu i obozuje nad rzeką naprzeciw Wyszkowa. Tabory dostały rozkaz dostarczenia pułkowi zaopatrzenia, a wszyscy żołnierze znajdujący się przy taborach a nie należący do taborów służbowo otrzymali rozkaz powrotu do pułku. (nie byliśmy we dwóch jedynym i takimi ludźmi. Było nas więcej).

Nie można powiedzieć, byśmy w czasie tego urlopu bardzo wypoczęli. Zamiast jechać na wozie odbywaliśmy olbrzymie marsze na piechotę, z trzech nocy urlopowych mieliśmy jedną w całości i jedną prawie w całości nieprzespaną oraz braliśmy udział w jednej bitwie. Ale pułk maszerowali bił się przez cały ten czas niemal bez przerwy. Właśnie wciągu owych dni dywizja ochotnicza stoczyła swoją słynną bitwę pod Paprocią (niektórzy nazywają ją bitwą pod Ostrowią Mazowiecką). W bitwie tej poniosła ona bardzo ciężkie straty, ale zdołała bolszewików całkiem skutecznie zatrzymać. A ponieważ i dalej na południe polskie wojska grupy poleskiej generała Sikorskiego stoczyły mniej więcej w tym czasie bitwę o charakterze zaczepnym, więc w sumie sytuacja w dorzeczu Bugu została na kilka dni opanowana i bolszewicy zostali nie tylko zatrzymani, ale odepchnięci. Widać to było choćby w tym, że przez następne dni trzymaliśmy się całkiem skutecznie nie tylko w samym rejonie Wyszkowa, lecz daleko na jego przedpolu w kierunku Ostrowi Mazowieckiej. Była to rzecz prosta poprawa sytuacji jedynie chwilową: po kilku dniach bolszewicy znów wznowili swoją ofensywę. Ale poprawa ta dała reszcie polskiej armii kilka cennych dni spokoju, które pozwoliły skuteczniej przygotować obronę przyczółka warszawskiego pod Radzyminem i przegrupować cały front północny. W bitwie pod Paprocią niestety nie wziąłem udziału a przynajmniej nie wziąłem udziału wraz z pułkiem. Bo jednak pocieszam się, że owa nocna walka w lasach, przez które przeprowadziliśmy tabor, była także częścią i fragmentem tej wielkiej i ważnej bitwy.

VII. WYSZKÓW

Pułk nasz – czy też może batalion - obozował w lasku nad Bugiem, naprzeciwko położonego na wzniesieniu Wyszkowa tak, że można było z miejsca postoju widzieć miasto poprzez rzekę. Dzień był piękny i wojsko odpoczywało pod gołym niebem. Na trawie w cieniu drzew rozłożono długimi pasami słomę i każda kompania leżała na takim pasie słomy pokotem, równolegle do linii ustawionych w kozły karabinów. Gdy wróciłem do swojej kompanii, od razu znalazłem swoje miejsce w słomie i oddałem się temu samemu zajęciu, któremu się w ostatnich godzinach poświęcałem w taborach, mianowicie wysypianiu się.

Batalion nasz przeszedł na postoju w Wyszkowie pewnego rodzaju reorganizację. Kompania nasza otrzymała nowego dowódcę w osobie podchorążego Mańkowskiego. (Gdyśmy wyruszyli na wojnę, mieliśmy w kompanii trzech oficerów porucznika i dwóch podporuczników. Teraz nie mieliśmy ani jednego...) Batalion także miał nowego dowódcę, ale nie pamiętam już ani jego twarzy ani nazwiska. Otrzymaliśmy także uzupełnienia w ludziach. Pluton marszowy w sile chyba jakichś 20 lub 30 ludzi przyjechał z Warszawy; byli to przeważnie dawni żołnierze naszej kompanii, którzy rozchorowali się w pierwszych dniach działań i byli czas pewien w szpitalu; było między nimi dwóch czy trzech bardzo lekko rannych, których powierzchowne rany, jakieś draśnięcia kulą po głowie czy ramieniu, zabiłszy się po tygodniu czy dziesięciu dniach kuracji i których uznano za zdrowych mimo że nosili wielkie, czerwone blizny. Ale oprócz naszych własnych ludzi byli w tym uzupełnieniu też i ludzie całkiem nowi, jacyś ochotnicy oraz ex – ordynansi z biur i żołnierze z koszar, którym zmieniono przydział. Dla kompanii tak bardzo przetrzebionej to uzupełnienie oznaczało poważny wzrost siły liczebnej.

Zajęto się także uzupełnieniem naszego zaopatrzenia. Miedzy innymi nareszcie i w sposób legalny otrzymałem płaszcz. Był on na mnie trochę za ciasny, ale był to płaszcz – i własny. Prosiłem także o kurtę, ale kurty nie dostałem.

Natomiast spotkała mnie na tym postoju inna wielkiej miary klęska; może gorsza od utraty płaszcza. Mianowicie gdy spałem, ktoś ukradł mi buty. Czułem się w swoim batalionie tak bezpieczny, a postój robił wrażenie tak długiego, że wbrew zwyczajowi ostatnich dni zdjąłem dla lepszego wypoczynku buty i położyłem je obok siebie na słomie, sam wyciągając

się wygodnie bosymi nogami. Gdy się obudziłem, buty, owszem stały obok mnie, ale nie moje. Były na mnie o wiele za ciasne. Widocznie były za ciasne też i dla złodzieja, niewątpliwie kolegi żołnierza, który skorzystał z tego, że kompania śpi i „wymienił” sobie buty na lepsze, najlepsze jakie mógł wybrać. Natychmiast zgłosiłem się do moich władz po inne buty, ale butów w zapasie nie było. Albo może były ale nie moich wymiarów. Była to prawdziwa katastrofa. Być żołnierzem piechoty bez butów, to chyba rzecz gorsza niż być w butach a nago. Przez pierwsze dwa dni usiłowałem w tych butach chodzić, zostawiając je w stanie nie zasnurowanym. Ale porobiłem sobie od nich na nogach takie rany, że musiałem dać temu pokój. Od Wyszkowa nad Wkrę pomaszerowałem bosy; i to nie na zdrowych stopach, lecz ociekających krwią. Bosy, na tych poranionych nogach, biegłem także do natarcia w wielki dzień zwycięstwa w chwili Cudu nad Wisłą.

Buty te mogłem śmiało wyrzucić; były mi nieprzydatne. Nie wyrzuciłem ich jednak, bo liczyłem, że może mi uda się je wymienić. Musze dodać, że buty nosiliśmy nadzwyczaj dobre: mocne, dobrze podkute i niezwykle wygodne. Buty te miały bardzo długie i mocne sznurowadła. Związałem je końcami sznurowadeł razem i zawiesiłem sobie na szyi, tak że zwisały po bokach mniej więcej na wysokości ładownic. Tyle z nich miałem pożytku, że mogłem je używać jako coś w rodzaju chlebaka. Nosilem w nich kromki chleba, kawałki mięsa, śliwki, kiszone ogórki; jednym słowem rzeczy, które nie bardzo chciałem wkładać do kieszeni.

Byłem więc teraz w płaszczu, w cywilnej czapce, z butami zawieszonymi na szyi – i bosy.

W czasie postoju w owym lasku nad Bugiem zostaliśmy zaprowadzeni całą kompanią czy też batalionem do kąpieli w Bugu. Było to, pamiętam, słoneczne popołudnie. Znalazło się mydło, rozebraliśmy się i mogliśmy zarówno gruntownie się wymyć z nagromadzonego od tygodni brudu, jak wypłuskać w rozkosznie chłodnej wodzie. A po kąpieli usiedliśmy nago na piaszczystych ławicach i czas dłuższy metodycznie biliśmy wszy, siedzące długimi szeregami na szwach naszej odzieży. Dopiero po owej chwili zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia jestem już ogarnięty tą plagą. Szła na nas z Rosji i szła szybciej niż bolszewicka inwazja. Na dalekich postojach na rosyjskim pograniczu wojsko nasze zaraziło się nią – i teraz zaraza szła z błyskawiczną, niepojętą szybkością – od żołnierza do żołnierza przez otarcie się o siebie, przez spanie na tej samej słomie. A sprzyjał jej spowodowany zmęczeniem i brakiem czasu oraz trudnościami zaopatrzenia – brud. Niemycie się, niezmiwanie bielizny, sypianie na gołej ziemi. Z głębin niezmierzonej Rosji szła na Polskę – wesz. A wraz z wszą szedł jej towarzysz: tyfus plamisty. Szły zresztą i inne zarazy: tyfus brzuszny, czerwonka i inne.

Siedzieliśmy nad rzeką, wynajdowaliśmy z podziwem w naszych koszulach i spodniach niepojęcie liczne zastępy białych, wstrętnych stworzonek, dotąd przez większość z nas nigdy jeszcze własnymi oczyma nie oglądanych, a teraz siedzących jak drobniutkie paciorki sznurami wzdłuż każdego szwa i zabijaliśmy je po kolei naciśnięciem paznokcia na paznokieć, tak, że pękały, wydając nieznaczny a wstrętny trzask.

Nie pamiętam, jak długo staliśmy na tym postoju. Myślę, że chyba ponad 24 godziny. Pamiętam, był wieczór, było już ciemno. Zajechała kuchnia polowa i wydała nam wspaniały gulasz. Wydano również chleb i słoninę. Jedliśmy ze smakiem, gdy nagle przyszedł rozkaz, że mamy się spieszyć, bo za chwilę odjeżdżamy. Na szosę zajechało kilka aut ciężarowych. Mieliśmy na te auta wsiąść. Gulasz był bardzo gorący, nie można było jeść prędko; choć byliśmy głodni i jedliśmy ze smakiem. W dodatku niektórzy byli bez menażek: pogubili je wraz z plecakami; więc musieli pożyczać jedni od drugich, a więc musieli poczekać, aż ktoś skończy jeść. Skończyło się na tym, że niektórzy, najbardziej spóźnieni, wsiedli do samochodów z menażkami pełnymi gorącego gulaszu, który wylewał im się na wyboistym bruku, gdy auta ruszyły i którego część musieli w końcu z wielkim żalem wyrzucić. Chleb ze słoniną jedliśmy wszyscy już w autach. Ciężarówki zabrały całą naszą kompanię. Przewiozły

nas przez most na Bugu, przewiozły nas przez ulice Wyszkowa, dość schludnego miasteczka (utkwiał mi w pamięci pomniczek Kościuszki na skwerze na środku Rynku przed kościołem), a potem skręciły w lewo. Wiozły nas dość długo pograżoną w mroku szosa, aż wreszcie dotarły do jakiejś uśpionej wsi. Było to mocno w lewo od osi Wyszków – Ostrów Mazowiecka; widocznie mieliśmy stanowić osłonę lewego skrzydła czegoś jakby przyczółka mostowego wokół Wyszkowa.

Ulokowano nas w wielkiej stodole, w której spędziliśmy 24 godziny, śpiąc prawie bez przerwy. Rozstawiliśmy w okolicy system czujek, ale było tych czujek tak niewiele, że pełniona na zmianę służba wypadła bardzo rzadko i nie była dokuczliwa. Pamiętam z tego postoju jeszcze i to, że do spółki z jednym kolegą kupiliśmy kaczkę od chłopów i kazaliśmy ją upiec, dzięki czemu mieliśmy wspaniałą ucztę.

Po 24 godzinach zostaliśmy z tej placówki ściągnięci. Zdaje się, że nikt nas nie zluzował, po prostu placówka została skasowana. Za to wysłano nas – nie kompanię tylko, ale cały batalion, czy może nawet cały pułk – nieco bliżej nieprzyjaciela, szosą przez Wyszków, w kierunku Ostrowi Mazowieckiej. W odległości kilkunastu kilometrów za Wyszkowem szosa przechodziła przez smugę lasów. Na skraju tych lasów, od zewnętrznej strony, z frontem ku Ostrowi, biegła linia okopów z wojny światowej. Nie wiem czyje to były okopy: rosyjskie ongiś czy niemieckie. Mogły to być okopy rosyjskie broniące linii Bugu przed możliwą inwazją niemiecką od strony Prus Wschodnich i mogły być także, z nieco późniejszego okresu, choć z tego samego 1915 roku, okopy niemieckie, zbudowane przeciwko armii rosyjskiej cofającej się na wschód. Były to okopy dobrze jeszcze zachowane. Miały przed sobą zasieki z drutu kolczastego, prawie nie naruszone i stanowiące dzięki temu mocną zaporę. Ale pole obstrzału było dość nieduże: zaraz dalej zaczynała się wieś tonąca w sadach oraz jakieś zarośla.

Obsadziliśmy od razu te okopy. Mieliśmy rozkaz siedzieć na ich dniami. Karabiny mogliśmy mieć ze sobą w okopie, albo mogliśmy je położyć na brzegu okopu, skierowane ku drutom kolczastym i ku wsi. Siedzieliśmy w tych okopach cienką linią, w odstępach kilku kroków jeden od drugiej. Nasza kompania była dość daleko w lewo od szosy, inne były przyszosie i w prawo od niej. Myśmy stanowili lewe skrzydło; na lewo od nas nie było nikogo, a przynajmniej nie było w łączności z nami. Podobno dużo dalej w lewo były jakieś inne oddziały. Czasami nasza kompania wysyłała w lewo patrole, które maszerowały kilka kilometrów i wracały, nie nawiązawszy z nikim łączności. Po prostu byliśmy tylną strażą wysuniętą poza linie lasów jako samotna, zbrojna palcówka, mająca zadanie nawiązania styczności z nieprzyjacielem.

Myślę, że sam fakt, iż mogliśmy tu siedzieć, tak daleko za Wyszkowem, jest dowodem, że sytuacja na tym odcinku frontu poprawiła się nieco; zapewne w wyniku bitwy pod Paprocią. Bitwa ta zahamowała pochód bolszewików; teraz znowu czekaliśmy na nich, zapewne z zadaniem opóźniającym.

Zostaliśmy wzmocnieni oddziałem ciężkich karabinów maszynowych, nie należącym do naszego pułku. Byli to hallerczycy, starzy, doświadczeni żołnierze. Porobili gniazda karabinów maszynowych, wkopali nieco maszyny w ziemię, rozłożyli obok nich długie taśmy amunicji. My, piechota, wypełnialiśmy puste miejsca między tymi gniazdami tak jak woda wypełnia i wyrównuje zawartość naczynia, do którego włożono kilka ziemniaków. Byłem tuż koło karabinu maszynowego. Trochę z hallerczykami gawędziłem. Byli to poznaniacy, ludzie, którzy mi wydawali się bardzo starzy. Służyli w wojsku niemieckim, długo byli na zachodnim froncie, a gdy się dostali do francuskiej niewoli, czy też gdy do Francuzów uciekli, zgłosili się na ochotnika do polskiej armii we Francji i z armią tą do Polski wrócili. Byli później długo na polskiej wojnie gdzieś na kresach wschodnich.

Znali się na swoim rzemiośle. Z pedantyczną precyzją ustawiali maszyny, szykowali się do zadania, które ich czekało. Dla nas, niewykształconych, smarkaczy, odnosili się z

pogardą. Robili na mnie wrażenie ludzi o właściwościach niemieckich: byli metodyczni, dokładni, byli dobrymi żołnierzami, ale był w nich niemiły rys szorstkości i brutalności. Nie widziało się w nich patriotycznego zapału. Może po prostu byli zmęczeni sześciu latami wojowania. Oraz jako ludzie doświadczeni lepiej zdawali sobie sprawę z tego, jak krytycznie sytuacja wygląda.

Rozmawiając z nimi, użyłem wyrazu: front. Wsiedli na mnie:

- Co? Front? To jest front? To nie jest front, tylko b...

Widocznie mieliśmy za zadanie porządnie się tu bronić, bo przywieziono nam sporo skrzynek z amunicją i rozmieszczono w różnych miejscach w okopach, tak że każdy miał do nich łatwy dostęp. Kuchnie polowe dały nam jeść.

Pamiętam z pobytu w tych okopach jeden ciekawy szczegół. Była w pobliżu studnia; zdaje się, że nie była przez ludność miejscową używana. Był w niej drąg ale na jego końcu nie było wiadra, tylko gwóźdź do zaczepiania naczynia. Któryś z nas zaczął o ten gwóźdź menażkę – kociołek, by zaczerpnąć wody i menażka wpadła mu do studni. Wobec tego zszedł przy pomocy kolegów na dno, by jej poszukać pod wodą. Znalazł nie tylko swoją menażkę, ale i 5 czy 6 innych. Widocznie w roku 1915 żołnierzom niemieckim czy też rosyjskim menażki tak samo spadały z gwoździa i pozostały na dnie zapomniane przez całych lat pięć. Była to dla nas cenna zdobycz; Cała grupka żołnierzy naszego plutonu, którzy nie mieli menażek, zaopatrzyła się w nie.

Dzień był słoneczny i poświęciliśmy go na wysypianie się. Tylko niektórzy z nas pełnili wartę przy karabinach, reszta leżała na dnie okopów i spała. Było to już chyba po południu, gdy stałem w okopie oparty o jego krawędź i mając pod ręką ułożony na trawie karabin spoglądałem przed siebie na pole obstrzału, na pół drzemiąc. Nagle usłyszałem przed sobą spokojny głos mówiący po rosyjsku:

- Niet, zdieś nie prajediem. (Nie, tu nie przejdziemy).

Podniosłem oczy i zobaczyłem w odległości kilkudziesięciu kroków przed sobą kozaka na koniu oglądającego druty kolczaste. Wziąłem karabin i strzeliłem do niego. Spiął konia, zawrócił, i zaczął uciekać galopem ku gęstwinie sadu i wsi. W kilkanaście sekund po moim strzale posypały się ku niemu strzały ze wszystkich stron. Strzeliłem także i ja po raz drugi, a może i trzeci. Widzieliśmy go tylko przez chwilę – i już go nie było.

Zrobiło się cicho. Czas dłuższy nie było nic słychać, dowódca nasz wysłał patrol, który przeszedł przez druty i poszedł zobaczyć, co dzieje się we wsi. Patrol nie znalazł bolszewickiego wojska, znalazł jednak trupa zabitego bolszewickiego żołnierza.

Czy to ja go zabiłem? Zwykłem być potem się chwalić, że zdaje się zabiłem kozaka. Myślę jednak, że to była przechwałka nieuzasadniona. Myślę, że chybiłem, albo tylko lekko go raniłem. Zbyt żwawo się obrócił jak na człowieka śmiertelnie rązonego, zbyt gwałtownie pognął konia. Pewnie go powaliła któraś inna kula.

Dzisiaj mnie to zgoła nie martwi, że nie mam do tej przechwałki podstawy. Wolę nie być zabójcą człowieka; nie zabójcą anonimowym, w zbiorowym ogniu kompanii do masy anonimowego nieprzyjaciela, ale zabójcą człowieka, którego dokładnie widziałem, którego spokojny głos, nieświadomy niebezpieczeństwa, słyszałem i którego nagle przerażenie mogłem dostrzec. Dzisiaj o tym człowieku, którego zwłoki od 38 lat już się w mazowieckim piasku rozsypały w proch, myślę tylko ze współczuciem i odmawiam w tej chwili „Wieczny odpoczynek” za niego.

Spokój powrócił po jego zniknięciu. Ale było to już nawiązanie kontaktu z nieprzyjacielem. To był widać podjazd. On mówił widać do kolegów pozostałych w tyle – i koledzy pewnie zabrali potem jego konia.

Drugi kontakt z nieprzyjacielem był dobrze po południu daleko na lewym skrzydle. Posłany tam został nasz patrol złożony z dwóch ludzi. Jednym z nich, zarazem dowódcą patrolu, był bardzo dzielny, energiczny i odważny harcerz z Łowicza dużo starszy od

przeciętnego wieku nas wszystkich. Zdaję się, że nazywał się Ruciński, ale może się myłę. Patrol oddalił się od stanowiska naszej kompanii chyba o jakieś kilka kilometrów i miał zdaje się za zadanie szukać łączności z jakimiś innymi naszymi oddziałami. Dotarł do jakiejś wsi i wychodząc spoza stodoły natknął się nos w nos na patrol piechoty bolszewickiej złożony z kilkunastu ludzi. Ruciński nie stracił pewności siebie, tylko wrzasnął do kolegi będącego jeszcze za stodołą,:

- Naprzód! Na Bagnety! Hurra!

Zrobił taki ruch, jakby chciał na czele swego oddziału zaatakować bolszewików na bagnety i bolszewicy, nie wiedząc z jaką siłą mają do czynienia, przestraszyli się i uciekli.

Istotne natarcie bolszewickie zaczęło się przed wieczorem. Bolszewicy zaatakowali nas od czoła. Było to natarcie dość mocne, ale o ile sobie przypominam, nie było wsparte artylerią. Byliśmy tylko przez czas dłuższy, chyba w ciągu kilku godzin, pod mocnym ogniem karabinów maszynowych i piechoty, przy czym nieprzyjaciel wyraźnie się do nas przybliżał i w ostatniej fazie był już tuż przed naszymi drutami kolczastymi. Myślę, że bolszewicy nie traktowali tego natarcia na serio. Chcieli nas tylko zwięzać od czoła, a przez ten czas obejść nas z lewej albo prawej flanki.

Odpowiadaliśmy im gęstym ogniem karabinów ręcznych i maszynowych. Bolszewicy strzelali celnie i krawędź naszych okopów była pełna od dziur od kul, ale o ile sobie przypominam, nie mieliśmy żadnych strat, przynajmniej kompanii. Okopy nasze były głębokie i dawały nam znakomitą ochronę.

Przypominam sobie z owej bitwy następujący szczegół. Było to na samym początku strzelaniny. Padł rozkaz: strzelać i hallerczycy pochyłili się nad swoim karabinem maszynowym. Ja stałem obok nich i strzeliłem z mojego karabina, trzymając go nieco ponad krawędzią okopu, w pobliżu głowy jednego z hallerczyków, ale nieco w tyle. Była to z mojej strony nieuwaga, a raczej brak doświadczenia: strzelić tak komuś koło ucha, to może dobrze ogłuszyć. Skoczył na mnie i kilka razy z wściekłości kopnął:

- Coś ty zwariował? Pewnie mi bębenek w uchu pękł.

Pewnie tak źle nie było, bo nie byłem tak znów blisko jego głowy. Ale przepraszałem go bardzo potulnie.

Widocznie mieliśmy rozkaz utrzymać się na tej pozycji tylko do nocy, bo gdy się ściemniło, wycofaliśmy się nagle. Był to odwrót w zupełnym porządku. Dzisiaj, przypominając sobie co wtedy przeżyłem, widzę, że miałem sposobność być uczestnikiem operacji zwykle nie łatwej – planowego oderwania się od nieprzyjaciela i że operacja ta została przeprowadzona w zupełnym porządku i z całkowitym powodzeniem. Widocznie mieliśmy za zadanie zatrzymać bolszewików na tym dalekim przedpolu Wyszkowa przez jeden dzień, nie pozwolić im na przejście lasów przed nocą, ale zarazem nie dać się zniszczyć i nie narazić się na zbyt wielkie straty. Oczywiście wówczas uczucia i wrażenia nas, szeregowców, były całkiem inne. Był to jeszcze jeden odwrót, oraz jeszcze jedna bitwa przegrana, zakończona pospieszną ucieczką.

Odwrót wyglądał w ten sposób, że najpierw zabrano to co zostało ze skrzyń z amunicją. Część żołnierzy dostała rozkaz wzięcia tych skrzyń i ostrożnego wyniesienia ich na szosę do lasu. Potem skrzydła naszego frontu zostały stopniowo ściągnięte ku środkowi, ku szosie. Wreszcie nagle wycofaliśmy się wszyscy z okopów, uciekliśmy do lasu, zesłaliśmy się ku szosie, ustawiliśmy się w kolumnę marszową i w gęstniejącej nocy pomaszerowaliśmy szosa w stronę Wyszkowa. Ten ostatni moment wycofania się był bardzo uciążliwy i niebezpieczny. Bolszewicy byli tuż – tuż i ogień ich był bardzo silny. Być może wyczuli, że się wycofujemy; widzieli to choćby po ustaniu ognia na naszych skrzydłach. Może dlatego mocniej natarli, by nas przygwoździć na miejscu. Gdy przyszedł rozkaz ostatecznego odwrotu, przestaliśmy strzelać i musieliśmy my, piechota, pomóc wycofać karabiny maszynowe. Były to ciężkie maszyny ma maleńkich kółkach. Wzięliśmy się w kilkunastu za

ręce, tworząc kilka ludzkich łańcuchów; ostatni w tych łańcuchach ciągnęli karabin maszynowy. Biegliśmy galopem przez pole otwarte dla nieprzyjacielskiego ognia, a karabiny turkotały po ziemi. Jedyłą naszą osłoną były gęstniejące ciemności. Pamiętam, że dosyć się bałem, był to jednak strach opanowany i pomieszany z radością skutecznego uratowania cennego sprzętu.

Na szosie okazało się, że wycofane skrzynie z amunicją leżą na ziemi, bo nie było taboru pod ręką. Kazano nam je wszystkie zabrać. Nieśliśmy je na zmianę, po czterech czy też sześciu, na ramionach, jak trumny. Były potwornie ciężkie. Pozostało mi z tego marszu przez las wspomnienie uczucia głębokiej udręki. Ciężar skrzyń był zupełnie ponad siły; myślałem, że padnę trupem pod ich brzemieniem, że po prostu nie wytrzyma mi serce. Ale jakoś szedłem. A w dodatku zupełnie już niemożliwa sytuacja zrobiła się z moimi butami. W okopach byłem boso, ale na drogę naciągnąłem buty i szedłem w nich kilka kilometrów, do reszty tworząc sobie bolesne rany na nogach. W końcu je zdjąłem – tym razem już ostatecznie: więcej już butów na nogach aż do końca mej służby frontowej nie miałem. Ale marsz boso też był uciążliwy, zwłaszcza gdy się dźwigało ciężkie skrzynie z amunicją. I tak było źle i tak niedobrze.

Nieśliśmy te skrzynie szereg kilometrów. Zmienialiśmy się co pewien czas. Jedni nieśli a drudzy odpoczywali, idąc. Dopiero po wielu godzinach doszliśmy do miejsca, gdzie były tabory i mogliśmy złożyć skrzynie na wozie. Maszerowaliśmy tak przez całą noc i przez cały następny dzień.

Nie pamiętam, kiedy przeszliśmy przez Wyszaków: czy było to za dnia czy w nocy. Pamiętam natomiast, że nie byliśmy ostatnim oddziałem przechodzącym przez most na Bugu w tym mieście; jakieś inne siły pozostały w Wyszakowie, osłaniając odwrót. Pamiętam również – choć nie mogę sobie przypomnieć, skąd się o tym i kiedy dowiedziałem – że ostatnie oddziały, opuszczając Wyszaków, podpaliły most na Bugu (był to most drewniany) i ze bojówki komunistyczne z Wyszakowa, złożone z miejscowych Żydów, usiłowały ten pożar ugasić i znalazły się w związku z tym w utarczce z wojskiem.

Był to bardzo przygnębiający marsz. Zbliżaliśmy się do Warszawy. Byliśmy bardzo zmęczeni i owładnięci uczuciem beznadziejności. Jeśli idzie o mnie, po raz pierwszy zacząłem się poddawać obawie, że to nie poszczególne bitwy są przegrane, ale że przegrana jest wojna. Do tego wszystkiego bolały mnie okrwawione, bosa nogi.

Przypominam sobie z owego marszu bardzo przykrą scenę; jedyną tego rodzaju, jaka w czasie całej kampanii widziałem. Było to gdzieś na pół drogi między Wyszakowem i Radzyminem. Podoficer prowiantowy zarekwirował na obiad dla wojska – bodaj dla naszej kompanii – cielę, które jakieś dzieci pędziły na pastwisko. Dzieci zaczęły płakać. Zbiegła się chłopska rodzina, kobiety podniosły lament razem z dziećmi. Ale wojsko miało siłę i było głodne; rzecz prosta, jego wola przeważała. Nie odnoszę wrażenia by właścicielom coś za to cielę zapłacono. Nie byliby w takim razie tak protestowali. Może im dano kwit rekwizycyjny. Ale co warte są kwity rekwizycyjne, ludność po sześciu latach wojny wiedziała zbyt dobrze.

I tak oto szliśmy, szliśmy, śmiertelnie zmęczeni – i nie mieliśmy już tego, co w początkach uczucia, że idziemy, choćby kosztem ofiar i poświęceń, ku zwycięstwu.

Jędrzej GIERTYCH
(Londyn)

W następnym zeszycie
druga i ostatnia część pod tytułem:

CUD NAD WISŁĄ

WSPOMNIENIA OCHOTNIKA

(2)

Jędrzej Giertych

VIII. CUD NAD WISŁĄ

Nie pamiętam, czy było to rano czy po południu, gdy doszliśmy do Radzimina.

Było to jeszcze jedno miasteczko. Dopóki nie przeczytaliśmy jego nazwy na drogowskazach, nawet nie wiedzieliśmy, że takie miasto w ogóle gdzieś pod słońcem istnieje. Skąd mieliśmy wiedzieć, że odegra ono taką wielką rolę w bitwie o Warszawę i że nazwa jego stanie się sławna w historii?

Ale gdyśmy do Radzimina wkroczyli, poczuliśmy od razu że dzieje się tu coś niezwykłego.

Budowano wokoło Radzimina okopy. Nie jedną linię, ale całą sieć, całe kretowisko okopów. Okopy te obsadzano wojskiem. I także samo miasto było pełne wojska. Były to nowe formacje ochotnicze, młodsze od nas. Młodzi chłopcy, w nowych mundurach jak z igły, prosto z magazynów. Patrzeli na nas jak na stare wojsko, - z podziwem, trochę z szacunkiem, ale trochę i krytycznie. Zmieniła się nasza rola w porównaniu do czasów, gdyśmy jechali koleją na front: teraz to my byliśmy starymi żołnierzami, zmęczonymi, obdartymi i trochę już zgorzkniałymi, a patrzeliśmy na wojsko młode, naiwne, niedoświadczone i nie wyćwiczone, ale pełne zapału i wiary.

Przechodząc przez Radzymin, mieliśmy takie uczucie, - jakbyśmy wchodzili we wrota sztykującej się na odparcie wroga twierdzy. Załoga stała z bronią u nogi – nie na murach, lecz w okopach – a my, zwiastuni nadchodzącej zawieruchy, wchodziliśmy do wnętrza i chowaliśmy się za plecy obrońców.

Szosa z Radzimina wiodła ku Warszawie. Czyżbyśmy mieli pomaszerować – do domu?

Nie pomaszerowaliśmy jednak tą drogą. Skręciliśmy w prawo, szosą na Nowy Dwór i Modlin.

Wieczór już był gdy doszliśmy do wsi Nieporęt.

Nareszcie pozwolono nam odpocząć. Stanęliśmy na szerokim, płaskim polu, na którym stały jakieś ogromne tabory. Ustawiliśmy w kozły broń i położyliśmy się wzdłuż tych kozłów na ziemi. Nie mogłem jakoś usnąć. Było mi zimno, w powietrzu była wilgoć, szara mgła snuła się po polu. Bardzo mnie bolały poobcierane, bose nogi. I byłem dziwnie wewnętrznie rozstrojony i przejęty.

Od zachodniej strony biała łuna świeciła na niebie. Światła wielkiego miasta. Warszawa.

Byliśmy pod murami stolicy. Inwazja rosyjska dotarła w samo centrum Polski. Przepęniały mnie sprzeczne uczucia. Wyraźnie odczuwałem dumę, że oto jestem obrońcą Warszawy, że moi rodzice, moja młodsza siostra, że całe miasto i mający w nim siedzibę polski rząd chronione są przed rosyjskim najazdem także i przeze mnie, mój karabin i ostrze mojego bagnetu – i przez moją narażoną na kulę pierś. Miałem świadomość, że wojna wchodzi w fazę decydującą, że teraz albo nigdy, zwyciężymy lub zostaniemy ostatecznie pobici. Świadomość ta miała w sobie coś podniosłego, że aż trzeszczały zęby, nie ze strachu lecz z wrażenia. Ale obok tego gnębiło mnie uczucie straszliwej obawy i przygnębienia. A co będzie, jeśli zwyciężyć nie zdołamy, jeśli zostaniemy pobici? Co będzie z Polską? Czy znowu niewola? Niewola po zaledwie półtora roku niepodległości. Myśl ta napełniała rozpaczą.

I co będzie zemną osobiście? Przypominały mi się losy wojska, pobitego w roku 1831. Czy i ja również, o ile nie zginę, pójdę na emigrację? Myśl o tym prześladowała mnie dość długo – i napełniała mnie wstrętem. Nie wrócić do domu? Nie zobaczyć rodziców i domu rodzicielskiego? Może nie zobaczyć – nigdy? Zanurzyć się w obcości i tęsknić jak Mickiewicz „na paryskim bruku” i jak Słowacki „o zachodzie słońca na morzu”? – lepiej zginąć! Nie! Jedna jest tylko rada: trzeba zwyciężyć. Ale czy to jest możliwe?

Gorzki chleb emigracji nie był mi już obcy. Wiedziałem, co mnie w razie klęski czeka. Lata wojny światowej i początków rewolucji spędziłem w Rosji – i dobrze pamiętałem tęsknotę za krajem, uczucie obcości, niepewny los w nieznanym świecie. Mój ojciec objął na wiosnę w 1914 roku posadę dyrektora w stoczni okrętowej w Tallinie (zwanym wówczas Rewlem) w Estonii, byliśmy więc właściwie „emigracją zarobkową”, a nie „emigracją polityczną”. Ale ja chodziłem do końca roku szkolnego w Kielcach do szkoły, przyjechaliśmy z matką i siostrą do Tallina dopiero z początkiem wakacji, a więc tuż przed wybuchem wojny. Nie różniliśmy się niczym od „uchodźców wojennych”, zwłaszcza że nasze meble, biblioteka itd. Nie zdążyły przyjechać i warunki naszego życia były prowizoryczne. Później, aż do lata 1918 roku, mieszkaliśmy w rewolucyjnym Petersburgu. Odcięcie od kraju przeżywałem w Estonii i Rosji bardzo boleśnie i żywo – i doskonale umiałem sobie teraz wyobrazić, jakie będzie moje życie w Paryżu w roli następcy żołnierzy powstania listopadowego. Napełniało to mnie rozpaczą. Nie wiedziałem, że doli ponownego emigranta nie uniknę, ale doczekałem się jej dużo, dużo później...

Usnąłem wreszcie. Obudził mnie po kilku godzinach gwałtowny ból. Jakiś koń taborowy urwał się od wozu, łąził po polu i wlaź na mnie. Kopnął mnie ostro podkuta podkową w obnażoną nogę znacznie powyżej kostki. Zrobił mi na nodze dużą ranę prawie do kości. Ale ta rana mniej nawet bolała niż samo uderzenie w kość.

Wczesnym rankiem ustawiliśmy się znowu w kolumnę marszową. Pomaszerowaliśmy do miasta Nowego Dworu, a potem, przeszedłszy przez to miasto, droga na przełaj przez mokre łąki poprzecinane całym systemem rowów, grobli i czworoboków wikliny, dotarliśmy do Wisły.

Był tam most pontonowy. Po moście tym przeszliśmy na lewy brzeg Wisły. Poprzez rzekę widzieliśmy potężne mury i wały twierdzy modlińskiej. Na naszym brzegu był osobny, nieduży fort nazywający się Kazuń. Wieś tej samej nazwy była w pobliżu. Zaprowadzono nas na suche pastwisko w pobliżu rzeki. Czekały tam już nasze tabory i kuchnia polowa z obiadem oraz przygotowana była słoma, na której mieliśmy spać. Oświadczone nam, że odpoczniemy tu trzy dni. Pogoda była cudownie ciepła. Od razu rzuciliśmy się na słomę, śmiertelnie zmęczeni, i zapadliśmy w kamienny sen.

Generał Sikorski tak oto opisał nasz pobyt w Kazuniu:

W podobnej sytuacji znajdowała się grupa podpułkownika Koca, zorganizowana z ochotników. Po ciężkich walkach, które rozegrały się pod Łapami i Ostrowiem Łomżyńskim, grupa ta liczyła 12 sierpnia, a więc w momencie, gdy stanęła w Kazuniu Polskim do mej dyspozycji, niespełna 1200 bagnetów. Opuchłe nogi żołnierzy oraz ich zdarte obuwie świadczyły dobitnie o przebytych

przez żołnierzy grupy intensywnych marszach. Żyła ona i działała jedynie zapalem swych dowódców i szeregowych, wśród których znajdziemy posłów Thugutta, ks. Starkiewicza, Chacińskiego i Smiarowskiego, redaktorów Straszewicza, Hołówkę i Giełżyńskiego. Pozbawiona urzędzeń i zakładów dywizyjnych, nie była zdolna do natychmiastowego działania.

Nazajutrz rano oświadczono nam na zbiórce, że otrzymamy nowe zaopatrzenie, mamy więc zgłosić nasze zapotrzebowania. Oczywiście, skwapliwie zgłosiłem buty jako zapotrzebowanie konieczne i kurtę jako zapotrzebowanie pożądane. Obie rzeczy starannie zapisano.

Wkrótce po tym przyjechało do nas z Warszawy duże auto jakiejś organizacji kobiecej, a w tym aucie kilka pań z całym ładunkiem rzeczy dla nas. Rzecz najważniejsza: przywiozły one dla nas pocztę. Poczta ta leżała na stacji zbornej naszej dywizji w Warszawie i nie mogła nam być doręczona. Teraz przysłano nam ją z pośrednictwem tych pań. Dzięki temu otrzymałem na raz kilka listów od rodziców. Panie te po południu wracały do Warszawy, mogłem więc napisać list. Obiecały mi, że go zaraz moim rodzicom doręczą, albo do nich zatelefonują. W liście tym napisałem, że stać tu będziemy jeszcze dwie i pół doby, więc proszę, by przyjechali mnie odwiedzić, a zarazem, by mi przywieźli moje cywilne buty.

Ponadto panie przywiozły dla nas i rozdały cały stos gazet. Łapczywie zanurzyliśmy się w ich czytaniu. Były to przeważnie gazety kierunku narodowego. Donosiły, że cały naród szykuje się do wielkiej bitwy i że olbrzymia rzesza ochotników wypełniła przeredzone szeregi. Biła z tych gazet determinacja, wiara w opiekę Bożą i nadzieja na zwycięstwo.

Wreszcie panie te przywiozły nam mnóstwo słodczy i wszelkiego innego dobrego jedzenia, a dla tych, którzy palą, papierosy. (Jakoż e byliśmy formacją w znacznym odsetku harcerską, niepalących było między nami dużo). Przywiozły także medaliki, święte obrazki i trochę czystej bielizny.

Przydałby się nam ksiądz. Bylibyśmy chętnie poszli do spowiedzi. Ale księdza nie było.

Był to dzień 14 sierpnia. Za Wisłą, na całym froncie od lewej ręki ku prawej huczały w oddali armaty. Piąta armia generała Sikorskiego była już w ogniu zaczynającej się wielkiej bitwy, w której wyniku miała oskrzydlić z lewej strony grupę trzech armii sowieckich (piętnastej, trzeciej i szesnastej), które, oskrzydłone następnie z prawej strony przez nagłe uderzenie grupy dwóch armii marszałka Piłsudskiego, oraz wiązane z przodu przez polski front środkowy, znalazły się w kotle i uległy zniszczeniu, pozostawiając w zupełnym osamotnieniu jeszcze jedną, najdalej na zachód wysuniętą i odciętą armię sowiecką (czwartą), też w rezultacie następnie otoczoną i zniszczoną.

Było dopiero wczesne popołudnie, gdy zwołano nas na zbiórkę.

- Odpoczynek odwołany. Na pas broń. Czwórki w prawo zwrot. Naprzód marsz.

Szliśmy znowu ku Wiśle, na most pontonowy. Spędziliśmy w Kazuniu nie trzy doby, lecz niecałą jedną. Nie otrzymałem butów. Moje nogi, całe w ranach i pomnożone jeszcze o dodatkową ranę od kopnięcia przez konia w Nieporęcie, były nadal bose. Ale trudno. Jak trzeba to trzeba. Mieliśmy świadomość, że to bitwa rozstrzygająca i że na odpoczynek nie pora.

Przeszliśmy przez kołyszący się pod naszym miarowym krokiem most pontonowy. Przed nami leżała twierdza modlińska. Wkrótce wkraczaliśmy w jej bramy.

Przypominała nam ona cytadelę warszawską, ale była od niej dużo większa. Ulice jej były pełne wojska. W pewnej chwili zatrzymaliśmy się na krótki postój. Od razu otoczyli nas żołnierze jakiegoś świeżo uformowanego pułku artylerii, wdając się z nami w rozmowy.

Byli to starsi panowie, łysi i z brzuskami, ochotnicy, którzy jeszcze prochu nie wachali. Ubrani byli w mundury, które sami sobie zamówili u krawców, kroju oficerskiego. (ochotnikom pozwolono w zasadzie mieć własne mundury i używać kroju oficerskiego, z czterema kieszeniami). Ci, z którymi rozmawiałem, to byli inżynierowie. Ćwiczone ich dłużej

niż nas, tak że strzelać nawet z armat umieli. Rozpytywali nas o nasze przeżycia, myśmy opowiadali szczegółowo, z przechwałkami, pyszniąc się przed tymi starszymi od nas ludźmi naszym doświadczeniem starszych niż oni żołnierzy. Rozmowy zresztą były przyjacielskie i rzeczowe. Wszyscy dążyliśmy do jednego celu: do odparcia najazdu. Oni byli starzy, myśmy byli młodzi, oni nadawali się do obsługi precyzyjnych maszyn, jakimi były armaty, a my do odbywania na piechotę długich marszów z karabinem na ramieniu.

Rozmówki te trwały tylko kilka, może kilkanaście minut. Zaraz ruszyliśmy dalej. Wkrótce przeszliśmy przez całą twierdzę w poprzek i wychodziliśmy przez przeciwległą bramę, na szosę wiodącą do Zakroczymia.

Szosa była cała zatłoczona wojskiem. Ogarnął nas podniecający nastrój wielkiego masowego pochodu ku bitwie. Szosa wznosiła się i opadała, widać ją było na wielką odległość i na przedzie i z tyłu. Masom maszerującej piechoty nie było końca. Widzieliśmy w sposób oczywisty, że jesteśmy częścią wielkiej koncentracji sił. A na polach po obu stronach drogi obozowały tabory, odpoczywały całe zgrupowania artylerii. I przegonił nas w pewnej chwili, galopując obok nas po polach, cały pułk ułanów.

Nastrój wojska maszerującego ku wielkiej bitwie i mającego świadomość, że to bitwa rozstrzygająca, jest czymś, co po prostu nie da się opisać. Jakiś zbiorowy trans ogarnia szeregi, jakieś zbiorowe przecucie i zbiorowa woła, w której zatracają się uczucia jednostek. To naród polski szedł do bitwy. Zbliżała się godzina „cudu nad Wisłą”. Ten cud dźwięczał w nas wszystkich. Byliśmy narzędziem, którym posłużyła się ręka Opatrzności, ratując Polskę i ratując na lat dwadzieścia Europę. Nic nie znaczyliśmy z naszym zmęczeniem, naszym osobistym lekiem i smutkiem. Byliśmy potężnym ciałem, posuwającym się na spotkanie wroga.

Zapomnieliśmy o zmęczeniu. Zaczęliśmy śpiewać. Była w tym śpiewie zadziwiająca siła i wesołość. Każda kompania śpiewała co innego, tak że śpiew ten zlewał się w jeden wielki, zadzierzasty ludzki gwar. Było w tym naszym pochodzie coś jakby rwanie się do tańca.

Grupki przekupniów poustawiały się wzdłuż drogi. W pobliżu twierdzy modlińskiej ludność jest przyzwyczajona do uprawiania handlu służącego zaspokajaniu potrzeb żołnierzy. A teraz było tu żołnierzy o wiele, wiele więcej niż zwykle. Kobiety wiejskie pouśiadały z koszykami wzdłuż drogi, tu i ówdzie pootwierały się stragany jak na odpuszcie. Sprzedawano wodę sodową, cukierki, chleb, jaja na twardo, pierniki, kiełbasę. Coraz to ktoś z nas wybiegał z szeregu, prędko coś kupował i doganiał zdyszany swój oddział. Pamiętam, że między innymi kupiłem sobie całą kupę ogórków kiszonych, którymi napełniłem sobie buty, zawieszane u szyi i potem je w marszu jadłem. Oraz razem z kolegą Wieteską, harcerzem z Łowicza, kupiliśmy sobie cały duży schab. Zjedliśmy po kawałku, a potem resztę Wieteska schował do swojego plecaka. Był on jednym z nielicznych żołnierzy naszej kompanii, wciąż mającym plecak.

Wkrótce wmaszerowaliśmy do miasteczka Zakroczymia. Skręciliśmy w prawo oddalając się od Wisły.

Cała ludność Zakroczymia wyległa na ulice, tworząc na chodnikach szpalery i wypełniając okna i pozdrawiała nas okrzykami. Defilując na oczach licznego, przejętego, ze łzami w oczach witającego nas i błogosławiącego tłumu, mimo woli wyrównywaliśmy nasze szeregi, starając się dziarsko maszerować i lepiej, mocniej, rytmiczniej śpiewać. Przez większą część drogi nie mogłem moimi bosymi, poranionymi stopami iść w nogę, biegłem więc drobnym truchcikiem w swojej czwórce, starając się nie zostawać w tyle, ale nie usiłując dotrzymać kroku w rytm śpiewu. Ale w Zakroczymiu zdobyłem się na to, by iść w nogę.

Właśnie przechodziliśmy koło głównego zakroczymskiego kościoła, gdy w śpiewie naszym przyszła kolej na zwrotkę, myślę że w naszym pułku zrodzoną, czy też sparafrazowaną:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki Bóg nad nami,
Jeszcze Trocki będzie wisiał
Do góry nogami.

Kościół był z prawej strony, a ja szedłem na prawym skrzydle mojej czwórki. Jakaś stara kobieta stała przed kościołem. Słyszając nasz śpiew, zawołała uradowana:

- O tak to rozumiem.

Podbiegła do mnie. Nie pamiętam już jak się zachowała; pocałowała mnie, czy pogłaskała, czy coś w tym rodzaju.

Gdyśmy minęli Zakroczym, zaczęło się ściemniać. Ze względu na możliwą bliskość nieprzyjaciela kazano nam przestać śpiewać.

Stopniowo minęło nasze podniecenie. A wraz z podnieceniem ulotniły się i sztuczne siły. Zmęczenie doszło z powrotem do głosu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu był zmęczony jak wtedy. Nawet dźwigając owe skrzynie z amunicją pod Wyszkowem, nie czułem się tak u kresu sił.

Nie widząc się wzajemnie w ciemnościach, nie byliśmy już zbiorowością, ożywioną jednym duchem, tylko gromadą pojedynczych, bardzo zmęczonych ludzi. Pamiętam z owego nocnego marszu, obok owego straszliwego zmęczenia, uczucie głębokiego, przejmującego smutku, który wówczas mną owładnął. Przecież szliśmy – na śmierć. Przecież ogromna część spośród nas w ciągu najbliższych dni zginie.

Po prostu spaliśmy w marszu. Szedłem – i ciągle mi się coś śniło. Budziłem się, gdy pochód stawał wskutek jakiegoś zatoru. Wtedy wpadałem z impetem na poprzednią czwórkę i odyskiwałem przytomność. A zaraz potem ktoś idący z tyłu wpadał na mnie. Koledzy ciągle deptali mi podkutymi butami po moich bosych nogach. Czasami, gdy przejeżdżały jakieś samochody czy wozy na działa, wołano:

- Lewa Wolna! Lewa Wolna!

Gdyż tego powodu była chwila postoju, a staliśmy na brzegu rowu, mimo woli upadaliśmy w rowie na ziemię i w jednej chwili zasypialiśmy twardo. Ale łatwiej było zasnąć niż obudzić się. I łatwiej upaść na ziemię niż wstać. Postoje trwały minutę lub dwie – ale potem następowała męczarnia wzajemnego budzenia się i wzajemnego pomagania sobie w dźwiganiu się na nogi.

Szliśmy tak – długo.

Była już głęboka noc, gdy przyszedliśmy do jakiejś otulonej ciemnościami wsi. Wieś ta nazywała się Wrona.

Cisza panowała zupełna, tylko w oddali, jakby sennie, poszczekiwał samotny karabin maszynowy. Mieliśmy uczucie zupełnej samotności. Wyglądało na to, że nie ma w pobliżu żadnego innego wojska, prócz nas.

Zatrzymaliśmy się na drodze. Byłem zupełnie przytomny. Ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. Znowu jesteśmy mała garstką w obliczu nieprzyjaciela. Tylko jeden karabin gdzieś strzela. Czy znowu stoczymy walkę bezsilną i znowu będziemy musieli się cofać? Nie. Lepiej zginać na miejscu.

- Dwuszereg w lewo front. W prawo zwrot. Naprzód marsz!

Rozkazy wydawano szeptem. Wprowadzono nas na obszerny dziedziniec jakiegoś chłopskiego gospodarstwa.

- W kozły broń!

Starając się nie robić hałasu, weszliśmy do stodoły. – Stłoczeni, ułożyliśmy się na słomie i pozasypialiśmy od razu jak kamień.

Obudzono nas około godziny szóstej rano. Dzień zapowiadał się słoneczny i piękny. Była to niedziela, a zarazem dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej.

Było coś dziwnie podniosłego w naszym nastroju. Byłem dosyć wyspany. Odczuwałem zarazem swobodną rześkość oraz to uroczyste a zarazem radosne uczucie, jakie towarzyszy zwykle wielkim świętom.

Byłbym chętnie poszedł do kościoła, ale nie było na to warunków. Pamiętam, że w czasie kompanii dużo się modliłem, ale najniższym rodzajem modlitwy: ze strachu i prosząc o ratunek. Robiłem sobie w krytycznych chwilach śluby, że odmówię sto czy dwieście czy ile tam zdrowasiek. – (Różańca wtedy nie znałem). Pamiętam, że odmawiałem te ślubowane zdrowaśki jeszcze długo po wojnie. Ale w ów dzień wielkiego święta i zwycięskiej bitwy, pamiętam, że byłem bliższy wyższym formom modlitwy: w składaniu hołdu i dziękczynieniu.

Na podwórko zajechała kuchnia polowa. Rozdano nam czarną kawę zbożową i chleb, bodaj ze smalcem. Coś zupełnie niebywałego! Dotychczas nawet obiad, i to zwykle o najfantastyczniejszych porach, był dla nas rzeczą raczej wyjątkową. Żeby nam dano śniadanie – tego nie zazналиśmy od czasu pierwszych, spokojnych dni pod Łapami.

Zjedliśmy spokojnie, potem odprowadzono nas nieco dalej od drogi, do jakiegoś ogrodzonego, niedużego chłopskiego sadu. Usiedliśmy całą kompanią jeden przy drugim na ziemi, w dość dużej ciasnocie, u stóp starych drzew owocowych. Ptaki śpiewały, w powietrzu brzęczały owady, wśród liści nad naszymi głowami złościły się i czerwieniły dojrzewające owoce. W wielkim napięciu czekaliśmy na coś, choć nie wiedzieliśmy dokładnie: na co.

Była, zdaje się, godzina punktualnie ósma rano, gdy nagle, w jednej chwili, ze wszystkich stron huknęły armaty. Były to armaty – nasze. Baterie musiały być pochowane bardzo blisko nas; strzelały jedne ponad naszymi głowami, inne w pobliżu po bokach.

Pootwieraliśmy usta, zasłanialiśmy sobie uszy rękoma, kładliśmy głowy na ziemi, ale pomimo tego wszystkiego mieliśmy uczucie, że nam już nie tylko bębniaki ale całe głowy popękają od huków. Na tę wielką bitwę Polska zdołała nagromadzić zaiste wielki zapas amunicji i duże zgrupowanie dział! Może przygotowania artyleryjskie w wojnie światowej były potężniejsze. Ale i to także było przygotowanie na serio. Takiego ognia działowego jeszcześmy nigdy dotąd nie byli świadkami.

Trwało to może piętnaście minut. A potem nagle jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej huk ustał. I w chwili później usłyszeliśmy w oddali tłumny okrzyk:

- Hurra!

Grad ognia karabinów maszynowych bzykał nam nad głowami. Byliśmy od kul osłonięci, ale nawała ich szła całkiem blisko nad nami. Tuż nad moją głową pochylała się gruba gałąź starej, rozłożystej jabłoni. Nie mogłem wytrzymać z ciekawości. Nie zważając na niebezpieczeństwo, jednym susem wskoczyłem na tę gałąź i wspiąwszy się wysoko, rozejrzałem się po okolicy.

- Złazić! - Ryknął na mnie groźnym głosem podoficer.

Zeskoczyłem posłusznie. Ale ta jedna krótką chwilą wystarczyła mi, by zobaczyć, co się dzieje. Byliśmy na maleńkim wzniesieniu, a przed nami leżała rozległa przestrzeń pół opadających łagodną pochyłością. Po pochyłości tej schodziła ogromna, dobrze zachowująca równanie tyraliera naszej idącej do natarcia piechoty. Walił w nią zaciekle ogień karabinów maszynowych rosyjskich.

To, co widziałem, to był na odcinku wsi Wrona początek ofensywy piątej armii polskiej generała Sikorskiego, na innych odcinakach toczącej się już od poprzedniego dnia, a stanowiącej lewe skrzydło polskich kleszców, które miały masę wojsk sowieckich otoczyć i zniszczyć.

Byliśmy w odwodzie. Siedzieliśmy stłoczeni w tym sadzie, grzaliśmy się w brzasku wznoszącego się stopniowo coraz wyżej słońca, trochę drzemaliśmy, trochę modliliśmy się,

nasłuchiwalismy huku dział i trzasku karabinów maszynowych i zwykłych karabinów piechoty – i czekalismy.

Po kilku godzinach poprowadzono nas dalej. Ofensywa posunęła się naprzód – i my posunęliśmy się za nią. Kolumna nasz, jak jaszczurka, przemykała się dolinkami i zagłębieniami gruntu, idąc w ślad za naszym natarciem, ale stale pozostając za nim jako odwód w tyle.

W ciągu dnia byliśmy przesuwani naprzód kilkakrotnie. Ogółem, zrobiliśmy około ośmiu kilometrów. Tyle się na tym odcinku posunęła nasza ofensywa.

Te osiem kilometrów to był teren odebrany nieprzyjacielowi. Wszędzie widzieliśmy ślady dopiero co stoczonej walki. Spotykaliśmy płytkie okopy, na oczekaniu usypane na polach przez walczącą piechotę. Spotykaliśmy tymczasowe groby, w których już zdążono pochować gromady poległych żołnierzy naszych i nieprzyjacielskich. Wszędzie widzieliśmy całe masy łusek po wystrzelonych pociskach karabinowych i działowych, porzucone puste taśmy od karabinów maszynowych, różne pogubione przez nasz e lub bolszewickie wojsko przedmioty, zapewne własność poległych, czapki, kawałki umundurowania, menażki, łopatki, połamaną broń. Spotkaliśmy całe gromady wracających z pierwszej linii lub niesionych na noszach rannych zarówno jak z ciekawością oglądane gromadki jeńców.

Podobno posuwaliśmy się za natarciem Brygady Syberyjskiej. Może się wydawać dziwnym, że w wojnę polsko – rosyjskiej formacja noszącą nazwę Brygady Syberyjskiej występowała po stronie polskiej. Ale wiele jest w świecie dziwnych spraw. Była to formacja polska. W okresie wojny domowej rosyjskiej zorganizowała się na Syberii z miejscowych polskich ochotników polska dywizja, podlegała Komitetowi Narodowemu Polskiemu w Paryżu i dowództwu generała Hallera we Francji. Dywizja ta osłaniała odwrót cofających się na wschód legionów czechosłowackich i „białej” armii rosyjskiej admirała Kołczaka i została w końcu otoczona i zniszczona. Jej część jednak, w sile około dwóch tysięcy ludzi, pod dowództwem pułkownika Rumszy, zdołała się przebić i wśród heroicznym wysiłków dotarła do granicy Chińskiej. Przewieziona morzem zjawiała się w Polsce tuż przed najazdem bolszewickim. Byli to wszystko starzy żołnierze, zaprawieni w bojach, zdyscyplinowani i dobrze wyszkoleni. Zasilono ich licznym młodym ochotnikiem, dla którego stali się kadram i uformowano ich w brygadę piechoty, która zachowała nazwę Syberii. Gdyśmy widzieli jej żołnierzy, uderzała nas w ich wyglądzie jedna osobliwość: że mieli karabiny angielskie, o charakterystycznym zakończeniu lufy, wyglądającym jak uszy jakiegoś śmiesznego zwierzątka. (Armia polska w wojnie 1920 roku używała karabinów niemieckich, francuskich, austriackich, rosyjskich, amerykańskich, z rzadka japońskich, a jak się okazuje, także i angielskich).

Z postojów naszych w ciągu tego dnia pamiętam jeden, dość długi, na obszernym polu, opadającym pochyło ku strumieniowi. Zboże na tym polu było zżęte, a leżeliśmy na samym polu. Pamiętam, że było mi tam okropnie źle. Chodzić bosymi, pokaleczonymi stopami, po szosie, po ścieżkach, po trawie, to jeszcze pół biedy. Ale chodzić po świeżym rżysku – to była zupełna tortura.

Po południu przesunięto nas bliżej ku samej linii. Przyprawiono nas do małego lasku na krawędzi wzgórza. Rozwinęliśmy się w linię tyralierską wzdłuż wzgórza, ale nie na jego grzbiecie, lecz za jego osłoną – gotowi do akcji, ale jeszcze w niej nie biorąc udziału. Widziałem tylko naszą kompanię, ale zdaje się, że i inne kompanie naszego pułku były w pobliżu.

Nasza linia była zaraz za wzgórzem. Trzymał ją jakiś oddział, zdaje się nie należący do Brygady Syberyjskiej. Początkowo panowała tam względna cisza, ale wkrótce bolszewicy otwarli gęsty ogień karabinów ręcznych i maszynowych z bardzo bliskiej odległości. Byliśmy od niego odsłonięci poprzez wzgórze, był on wymierzony do tych, co byli po tamtej stronie wzgórza, ale szedł tak nisko nad naszymi głowami, że czuliśmy, że wchodzimy w bitwę.

Po chwili pierwsi ranni zaczęli przechodzić ku nam przez wzgórze.

- Bolszewicy nacierają – mówili. – Przeszli przez rzekę i idą na nas. Za chwilę tu będą.

Leżeliśmy cierpliwie w linii tyralierskiej, czekając na rozkaz wystąpienia do akcji.

Wkrótce pomiędzy cofającymi się rannymi pojawili się i zdrowi. Cofali się w popłochu. Była ich właściwie mała garstka.

Na końcu szedł oficer ze strzaskaną nogą, z której spływała krew. Obejmował za szyję żołnierza, który go podtrzymywał i prowadził; szedł na jednej nodze, a drugą trzymał w powietrzu. Coś do nas zawołał, świadczącego, że był zły na swoich żołnierzy, że mu się rozpięchli.

Pora przychodziła na nas.

- Bagnet na broń! Podaj dalej! – Wołano do nas z lewego końca linii tyralierskiej.

Powtórzyłem rozkaz zachrypniętym głosem. Miałem uczucie, że zakrakałem jak kruk.

- Bagnet na broń! Podaj dalej!

Zachrzęściły bagnety wyciągane z pochew i zakładane na lufy karabinów.

- Powstań! Naprzód marsz! Hurra!

- Naprzód ! Naprzód! Hurra!

Tylko kilka metrów oddzielało nas od grzbietu wzgórza. Na grzbiecie lasek się kończył.

Leżała przed nami niewielka, łagodna dolina, której dnem płynęła rzeka Wkra. Z lewej strony był tor kolejki wąskotorowej. Przechodził on przez wzgórze i lasek, przecinał na poprzek dolinę i przebiegał przez rzekę po moście. Na moście stało kilka karabinów maszynowych rosyjskich, które strzelały w naszą stronę. Piechota rosyjska przechodziła po moście i biegła na nasze spotkanie. Dużą ilość piechoty rosyjskiej widać było na drugim brzegu.

- Hurra! Naprzód! Biegiem marsz!

Nie oddaliśmy ani jednego strzału, po prostu bieглиśmy naprzód, ściskając w garści karabiny z bagnetami. Zdyszani, mijaliśmy leżące na ziemi pojedyncze polskie trupy. W przelocie zobaczyłem i zapamiętałem, że jeden z trupów leżał z otwartymi oczyma i ustami; kula wpadła mu jak mucha do ust, ale nie przez rozsunięte wargi, tylko przez policzek, robiąc w nim małą dziurkę. Widocznie zabiła go na miejscu.

Zupełnie nie czułem, że jestem boso.

- Hurra! Hurra!

Bolszewicy przestraszyli się naszego impetu. Nagle – zawrócili i uciekli. Tylko ich biegnące kroki tupotały na moście. Gdyśmy dobiegli do rzeki, nie było z tej strony ani na moście ani jednego rosyjskiego żołnierza. Nie było także karabinów maszynowych. Tylko porzucone taśmy zwieszały się poprzez poręcz mostu, kołysząc się na wietrze i świecąc nie wystrzelonymi nabojami.

Czytam obecnie w pamiętnikach Jana Skotnickiego o wojnie 1920 roku następującą opinię o pułkach ochotniczych:

Oddziały ochotnicze były się, jak twierdzono, doskonałe, bohatersko, ale na ogół bez efektu. Pułki te miały olbrzymie straty, szły bowiem do boju nie wyćwiczone, mało zdyscyplinowane, często niepotrzebnie rwąc się do walki na bagnety, wskutek czego krwawiły zbyt mocno. Miały one zatem znaczenie raczej moralne.

Czy naprawdę było z nas tak mało pożytku? W warunkach ówczesnej wojny także i atak na bagnety osiągał swój cel. Wszak dotarliśmy do Wkry! I to był jeszcze nie koniec. Popłoch wśród bolszewików i nasz impet sprawiły, że czuliśmy się na siłach zdobyć drugi brzeg rzeki.

Nie było rzeczą możliwą przejść po moście, bo huczał tam teraz bardzo gęsty ogień: liczne karabiny maszynowe rosyjskie skoncentrowały ogień na jego powierzchni. Ale zbiorowym impulsem zaczęliśmy się wzajemnie nawoływać:

- Do wody! W bród! Hurra!

Nie wydaje mi się, byśmy otrzymali rozkaz przejścia na drugi brzeg rzeki. Jeśli taki rozkaz był wydany – to ja go nie słyszałem. Mam takie wrażenie, że to my sami, z własnej inicjatywy, widząc że bolszewicy przed nami uciekają, zdobyliśmy drugi brzeg Wkry, uważając, że to jest możliwe i korzystając z okazji. Tuż koło mnie młodzieńki, dużo młodszy ode mnie, może szesnastoletni, ale bardzo dzielny harcerz z Łowicza, dał pierwszy hasło, to jest krzyknął i wszedł do wody, a ja przeszedłem za nim drugi. W innych częściach linii tyralierskiej ludzie, myślę, szli do wody tak samo z własnego impulsu. Ani oficera, ani podoficera nigdzie nie widziałem.

Gdy zsuwałem się po stromym brzegu do wody, odpiąłem sobie szybkim ruchem pas, by mi się nie zamoczyły ładownice. Trzymając w lewej ręce pas z ładownicami, a w prawej karabin z bagnetem, zanurzyłem się w wodzie.

To było nawet przyjemne. Dzień był upalny i woda orzeźwiająca. Rzeka nie była głęboka. W najgłębszym miejscu sięgała mi do piersi.

Gdyśmy na drugim brzegu wylazili z wody, już bolszewików na brzegu nie było. Poczulem, że jestem okropnie ciężki: odzież przesycona wodą ciągnęła mnie do ziemi.

Wyleźliśmy na wzniesiony brzeg i od razu położyliśmy się na ziemi. Tyraliera bolszewicka leżała niedaleko przed nami na dalszym podwyższeniu gruntu i przyjęła nas ogniem. Także i karabiny maszynowe bolszewickie skoncentrowały ogień swój na nas.

Widziałem przed sobą główki piechoty rosyjskiej na wzniesieniu. Uwijał się między nimi oficer; widocznie przegrupowując ich, albo zachęcając do oporu i starając się opanować ich panikę. Nie chował się, widziałem go jak biegał po wzgórzu, widoczny w całości od stóp do głów.

Wziąłem go na cel i wystrzeliłem. Słupek kurzu wytrysnął pod jego stopami; trafiłem mu pod nogi w ziemię. Wystrzeliłem po raz drugi znowu trafiłem w ziemię. Podniosłem lufę wyżej i strzeliłem po raz trzeci; trafiłem najwyraźniej w niebo, bo ani bolszewik nie upadł, ani z ziemi pył się nie podniósł.

Zgniewany swoim niedołęstwem, odruchowo podniosłem się z ziemi i wycelowałem do niego z pozycji klęczącej. Ale zanim zdążyłem strzelić po raz czwarty, poczułem jakby mocne zacięcie biczem w lewym ramieniu i ramie to, podtrzymujące karabin, nagle mi osłabło. Nie zorientowałem się, co się stało i znowu zacząłem celować – ale ramie mi drżało i zaczęło boleć. Tknięty podejrzeniem, wsadziłem prawą rękę za pazuchę i poprzez górną część rękawa ku bolącemu miejscu. Namacałem ranę w ramieniu i wyciągnąłem dłoń pełną krwi. A zarazem zobaczyłem, że mam lewy rękaw przestrzelony.

Nagle obleciał mnie strach i położyłem się z powrotem na ziemi. A potem doszedłem do wniosku, że nie mam obowiązku brać dalej udziału w bitwie.

Zsunąłem się z brzegu ku samej wodzie i idąc jej skrajem, ruszyłem w stronę mostu, od którego byłem w odległości jakichś stu czy dwustu metrów. Psychologia moja dziwnie się w ciągu tych kilku minut zmieniła: zrobiłem się wylękniony i bałem się iść przez wodę w nieosłoniętym miejscu.

Mój przyjaciel Wieteska odwrócił się ku mnie.

- Co ci jest? Dostałeś?

- Tak.

- Ciężko?

- Nie. Lekko. W ramię.

Nasza wspólna własność, schab kupiony koło Zakroczymia, był w jego plecaku. Coś mu zawołałem, że niech zjada cały. Biedny Wieteska! W parę minut potem nawała ognia

artyleryjskiego spadła na naszą tyralierę i pocisk działowy urwał mu głowę. naszego schabu nie miał zjeść nikt.

Zdaje się, że się u kogoś odmeldowałem pod mostem; chyba u podoficera. Otrzymałem także zlecenie, pewnie od tego samego podoficera, bym przeprowadził ciężko rannego. Po drugiej stronie rzeki pod mostem już się zjawili sanitariusze, ale nie mieli ochoty się zmotywować bez potrzeby.

Ranny był bardzo młodym chłopcem, szczupłym, ale dość wysokim, choć niższym ode mnie. Nie znałem go. Miał na wylot przestrzelone piersi, zapewne przestrzelone płuco. Objąłem go prawym ramieniem w pół, powiedziałem mu, by mnie lewym ramieniem objął za szyję, i takeśmy ruszyli. Było mi bardzo niewygodnie. Brzeg był stromy, schodząc do wody o mało się nie ześlizgnęliśmy się i nie stoczyli. Oprócz niego miałem karabin i wisiały mi na szyi moje za ciasne buty. Był słaby, słał się, leciał przez ręce. Był bardzo blady i krwawił. No i ja także byłem ranny, choć lekko. Ale woda pod mostem była płytsza niż w innych miejscach, nie głębsza niż do pasa, i jakoś ją przeszliśmy. Oddałem rannego sanitariuszom. Zajęli się nim, oraz powiedzieli mi, bym szedł dalej, tam są inni sanitariusze, którzy zajmą się mną.

Przeszedłem wzdłuż toru kolejowego, który dawał niejaka osłonę przed ogniem, do lasu na wzgórzu, w którym poprzednio leżeliśmy. W lasu tym, pod osłoną wzgórza, był już posterunek sanitarny. Rannych było sporo; szli od strony rzeki nieustającym pochodem. Sanitariusze byli młodzi i niedoświadczeni. Jeden z nich zdjął mi rękaw z płaszcza i koszuli na lewym ramieniu i nałożył opatrunek. Gdy to robił, właśnie zahuczał w pobliżu ogień działowy. Tak się przestraszył, że odruchowo przysiadł do ziemi.

- To nic – uspokoiłem go. – To nie do nas.

Ciężej rannych zabierano na nosze, lżej rannym kazano iść. Ruszyłem w drogę, z karabinem na prawym ramieniu, z lewym obnażonym i częściowo obandażowanym. Spotkałem po drodze karabiny maszynowe naszego batalionu, które się gdzieś zapodziały i teraz pędziły z pośpiechem ku rzece. Ze zdyszonym znajomym podoficerem zamieniłem kilka przyjaznych słów.

Słońce nieźle jeszcze grzało, moja mokra odzież stopniowo wysychała w jego blasku. Ranni – na noszach i piechotą – płynęli niekończącą się rzeką, powstałą ze zlewających się strumieni, płynących z kilku odcinków. Doszliśmy do wsi.

- Tylu rannych, tylu rannych – zawodziły wiejskie kobiety i dziewczęta. Ustawiły kubły z mlekiem przy drodze i częstowały nas chłodnymi, orzeźwiającymi, gaszącymi pragnienie kubkami.

Przy większym punkcie opatrunkowym był nasz lekarz batalionowy. Wsadził mi palec pod bandaż, by namacać ranę. Sprawdzał, czy nie symuluję.

- Rana bardzo lekka. Nie potrzebujecie z taką raną iść do szpitala. Pojeździecie kilka dni z taborami, to się wam zagoi. Idźcie do taborów batalionów, one są dalej na szosie.

- Tak jest.

Poszedłem dalej. Zobaczyłem tabory już z daleka, poznałem nawet znajomego furmana. Ale właśnie ruszały, odjeżdżały gdzieś w boczną drogę. Zawołałem za nimi – ale mnie nie dosłyszały i odjechały. Szedłem przez chwile za nimi. Natknąłem się na nowy punkt sanitarny, przy którym były samochody i stary lekarz, podpułkownik czy pułkownik.

- Gdzie wy idziecie? To nie tam.

- Szukam taborów mojego batalionu. Lekarz batalionowy kazał mi iść do taborów.

- Po co?

- Moja rana jest bardzo lekka, nie przez kość. Mam zostać przy taborach, aż mi się wygoi.

- Też pomysł! Każdy ranny ma iść do szpitala.

- Kiedy ja mam taki rozkaz.
- Ja wam daję inny.
- Rozkaz.

Kazał mi iść piechotą do większego punktu zbornego lekko rannych w następnej wsi. Wskazał kierunek po szosie:

- Prosto jak strzelił.

Szedłem drogą radosny. Wolałem iść do szpitala niż do taborów. Byłem śmiertelnie zmęczony, pragnąłem poleżenia choć przez parę godzin w łóżku. Uważałem, że to wszystko się doskonale układa. Uczestnictwo w działaniach wojennych było trudem ponad siły, w gruncie rzeczy o niczym innym nie marzyłem jak tylko o tym, by się wreszcie skończyło. Otóż odchodziłem z frontu z honorem jako ranny. I miałem uczucie, że zwycięstwo jest osiągnięte, że kampania właściwie się kończy, a więc swoje zadanie spełniłem i nie jestem już więcej potrzebny. Później miałem zresztą całe życie żałować, że nie udało mi się wtedy tych taborów dogonić. Ominęło mnie radosne przeżycie, jakim była zwycięska ofensywa, pościg za pobitym nieprzyjacielem i jego ostateczne unicestwienie. Nawet jadąc na furze w taborach, byłbym wiele zobaczył i przeżył. Choć co prawda mogłem jeszcze także, nawet i w taborach, zginąć. Dziękuję Panu Bogu za to, co mi pozwolił przeżyć i za to, czego pozwolił mi uniknąć.

Słońce przeszło i zapadła ciemność. Poczułem się nagle bardzo zmęczony. Było mi zimno. Odzież, przemoczona w rzece, nie całkiem mi wyschła i lewe ramię miałem obnażone. Moje bosa nogi bardzo mnie bolały.

Miałem do przebycia jakieś siedem czy osiem kilometrów – i nagle poczułem, że ledwie powłóczę nogami.

Szedłem chyba z kilka godzin, zanim się dowlokłem do celu. Punkt zborny był w dużym, chłopskim gospodarstwie. Ranni leżeli pokotem na słomie w wielkiej stodole. Poliły się na podwórzu i w stodole latarnie stajenne.

- Co wam jest? Ranny?
- Tak jest. Ale rana bardzo lekka. Lekarz batalionowy kazał mi zostać w taborach, ale taborów nie znalazłem, a inny lekarz, pułkownik, kazał mi przyjść tu.
- Dobrze. Pojedziecie do szpitala. Złóżcie karabin i amunicję na kupę, - o tam w końcu podwórza. Ale w stodole nie ma miejsca. Musicie poczekać na podwórzu.

Złożyłem karabin we wskazanym miejscu. Zataczałem się ze zmęczenia. Zobaczyłem w rogu podwórza kupę czegoś, pewnie słomy lub siana. Podeszedłem do tej kupy i położyłem się na niej; już leżąc poznałem, że to nie słoma czy siano, lecz kupa nawozu. Ale nie miałem siły wstawać; zostałem gdzie byłem i zaraz usnąłem.

Zbudzono mnie po kilku godzinach.

- Wstawajcie. Pojedziecie do szpitala.

IX. SZPITAL

Na szosie stała ciężarówka. Ładowano na nią rannych. Ciężko ranni byli układani na podłodze na środku, lżej ranni ulokowali się w pozycji siedzącej dookoła, a najlżej ranni pousiadali na burtach. Ja byłem wśród tych ostatnich. Kazano mi usiąść z tyłu na zamykanej klapie platformy. Siedziałem na wąskiej krawędzi, ale nogi miałem oparte o podłogę wnętrza. Obok mnie siedział na tej samej klapie cały rząd ludzi, wszyscy ranni w ramiona lub w głowy.

Noc była ciemna. Ale rozświetlały ją co chwila błyskawice nieustannego ognia działowego toczącej się w dalszym ciągu bitwy. Była to noc z 15 na 16 sierpnia: na środkowym froncie bolszewicy wciąż atakowali przedpole Warszawy, lewe prowadzone przez generała Sikorskiego, ramię strategicznych kleszczów dopiero z mozołem posuwało się

naprzód, a ofensywa marszałka Piłsudskiego znad wieprza, tworząca prawe ramię tych kleszczów, miała wyruszyć dopiero o świcie.

Ruszyliśmy.

Droga była bardzo zła. Samochód co chwila podskakiwał na wybojach. Każdy taki podskok napełniał ciężarówkę jękiem: ze wszystkich ust wyrwały się skowyty bólu. Potrzaskane kości wpijały się w ciało, otwarte rany uderzały z impetem o przeszkody, na które były rzucone. Moja rana była drobiazgowa w porównaniu do niedoli, której nagromadzenie miałem przed sobą. Ale i ona dolegała mi bardzo. O ile w ciągu dnia bolała tylko przy dotykaniu, o tyle teraz zaczęła narywać. A ocierałem się ramieniem o mego sąsiada i na wybojach ciągle uderzałem o niego, przez co bardzo się w tę ranę urażałem.

Jechaliśmy tak kilka godzin. Wspominam te jazdę jako wędrowną komorę udręki. Byłem zmęczony i śpiący, a musiałem z całym napięciem uważać, by nie przechylić się w tył i nie wypaść na szosę. Noc zrobiła się chłodna i było mi bardzo zimno. Dolegał rosnący ból rany w ramieniu i nigdy nie ustający ból pokaleczonych stóp. Ale najbardziej przejmującym źródłem udręki był widok cierpienia, na które patrzałem: całym chórem skowyczący z bólu, wyjący, lub z cicha stękający i jęczący ciężko ranni, bez przerwy podskakujący na wybojach.

Była chyba druga albo trzecia w nocy, gdy przyjechalśmy do twierdzy modlińskiej. Ciężarówka jechała czas pewien wśród uspionych ulic fortecznego miasta i stanęła przed pawilonem szpitalnym.

Był to szpital skórno – weneryczny. Umieszczono nas w nim tymczasowo. Byliśmy w nim tylko przez resztę nocy i przez część następnego dnia. Niewiele z pobytu w tym szpitalu pamiętam, przez większą część czasu spałem, na sienniku bez pościeli. Pamiętam tylko, że wykąpano mnie tam pod gorącym prysznicem i że dano mi nieźle jeść.

Dnia 16. sierpnia przeniesiono mnie do szpitala polowego w Nowym Dworze. Szpital ten był umieszczony w grupie parterowych budynków koszarowych, jeszcze carsko – rosyjskiego, przedwojennego pochodzenia, na skraju miasteczka, przy szosie Modlin – Warszawa. Byłem w tym szpitalu trzy czy cztery dni. Pamiętam, że było mi tam bardzo dobrze. Był to szpital dobrze prowadzony, choć zaopatrzony nie najlepiej. Zmieniono mi tam opatrunek zrobiony przez sanitariusza w polu i dano zastrzyki, przypuszczam, że przeciwko panującym epidemiom tyfusu i czerwonki. Było tam bardzo czysto. Nie było łóżek, spaliśmy na siennikach ułożonych na podłodze. Ale podłoga ta była bardzo czysta i ciągle myta, oraz mieliśmy prześcieradła, koce i poduszki. Otrzymaliśmy szlafroki i bieliznę szpitalną a nasza własna odzież została wydezynfekowana i odwszona. Nie przeszkodziło to zresztą temu, że miałem w dalszym ciągu wszy na sobie i że wszy te przelazły na mego sąsiada na sienniku obok, ochotnika z jakiegoś pułku dopiero od kilku dni przebywającego na froncie, który jeszcze wszy nie zaznał. Miał on do mnie słuszną pretensję, że się wszy ode mnie nabawił ale cóż na to mogłem poradzić? Dostawaliśmy w tym szpitalu jeść regularnie i smacznie. I personel był troskliwy, życzliwy, grzeczny, pracowity – i ze skóry wyłaził, by sprostać ogromnemu zadaniu, jakie nań spadło w postaci takiej wielkiej liczby rannych. Dostawaliśmy także gazety, a więc mogliśmy śledzić – z zapartym oddechem – dalszy przebieg toczącej się wielkiej bitwy i coraz wyraźniej zarysowującego się miażdżącego zwycięstwa.

W szpitalu tym zetknąłem się z bliska z idącą na Polskę falą zarazy. Leżał na naszej sali ranny który ciągle jęczał. Myślano najpierw, że tak go bolała rana, ale okazało się wkrótce, że on był na czerwonkę i miał takie boleści... Stracił potem przytomność i zdaje się, że zabrano go z naszej sali. Najbardziej jednak godnym zapamiętania przeżyciem z czasu pobytu w tym szpitalu był wypadek telepatii, najwyraźniejszy, jakiego w życiu doznałem. Pewnego popołudnia leżałem na sienniku, gdy nagle usłyszałem, że mnie ktoś zawołał przez okno od ulicy:

- Giertych! Szukają was! Wyjść przed szpital!

Doznałem wrażenia, że to rodzice do mnie przyjechali i że mnie szukają. Zerwałem się i wybiegłem przez podwórze dookoła przed szpital na szosę. Ale było tam pusto. Nikt mnie nie wołał. Pytałem się, kto mnie szukał i kto wywoływał moje nazwisko. Nikt mnie nie wołał, przywidziało mi się. Nikt także prócz mnie nie słyszał tego wołania na sali.

Otóż rzeczywiście tego popołudnia i o tej mniej więcej porze przejeżdżali szosą moi rodzice. Otrzymali wiadomość o moim pobycie w Kazuniu od owych pań, które przywiozły pocztę i podarunki dla naszego pułku. Ale nie zdołali przyjechać od razu, bo nie było środków transportu, a bodaj że musieli też wyrobić sobie jakąś przepustkę, upoważniającą do odwiedzenia strefy przyfrontowej. Oczywiście, gdy przyjechali, już nas od dawna w Kazuniu nie było; nie byłiby zresztą zdążyli nawet gdyby mogli byli przyjechać tego samego dnia, przecież zaraz owego dnia wymaszerowaliśmy. Odbyli podróż w obydwie strony berlinką z zaopatrzeniem wojskowym holowanym przez holownik na Wiśle, a częściowo wynajętą chłopską furmanką. Gdy mnie nie znaleźli w Kazuniu, udali się do twierdzy modlińskiej, gdzie był punkt zborny rannych z całej okolicy i kartoteka nazwisk tych, co przez ten punkt zborny przeszli, i upewnili się, czy nie ma mnie między rannymi. Jechali potem przez Nowy Dwór i przejeżdżali obok szpitala polowego. Matka chciała się zatrzymać i sprawdzić, czy mnie w tym szpitalu nie ma, ale ojciec odpowiedział jej, że muszą się spieszyć, a przecież nie może mnie tu być, bo mnie nie było w kartotece w punkcie zborym. Rozmawiali tylko między sobą; furmanki nie zatrzymali i do nikogo się z pytaniami nie zwracali.

Pamiętam z późniejszych opowiadań rodziców o tej ich wycieczce na front, że jechali potem nocą, gdy całe półkole widnokregu rozświetlane było błyskawicami ognia działowego i powietrze dygotało od nieustającego turkotu dalekiej kanonady – i matka, przypuszczając, że jestem jeszcze wciąż w tej bitwie i nie mogąc się oswoić z myślą, że nie jestem już dzieckiem, cały czas płakała.

Pozostałem w tym szpitalu tylko przez około 3 dni. Potem przeniesiono mnie do innego szpitala polowego, mieszczącego się przy forcie Kazuń, w tym samym Kazuniu, w którym staliśmy przed bitwą i do którego na próżno przyjechali moi rodzice.

O ile szpital w Nowym Dworze wydawał mi się bardzo dobry, o tyle szpital w Kazuniu zachował mi się w pamięci jako bardzo zły. Dzisiaj, po tylu latach, skłonny jednak jestem nie oceniać go tak krytycznie jak wtedy. Zadania personelu były ponad siły. Rannych i chorych było za dużo, personelu było za mało, środki były za szczupłe. Skierowano tam tysiące polskich lekko rannych, takich jak ja, nie na jakieś zabiegi lekarskie, ale po prostu po to, by mogli spokojnie posiedzieć na miejscu, pozwalając, by im się rany same wygoiły. A w miarę posuwania się bitwy, wyrosło nowe zjawisko: ranni bolszewicy, jeńcy. Przybywały ich co dzień do Kazunia dalsze setki i tysiące. A w dodatku zaczęła się szerzyć zaraza; czerwotka, a przede wszystkim tyfus brzuszny i tyfus płamisty. Co dzień wywożono furami z fortu do wspólnych grobów całe stosy trupów.

Sarkaliśmy na to, że kierownikami szpitala byli lekarze – Żydzi i podejrzewaliśmy, że los nasz mało ich obchodzi. A ja oprócz tego oburzałem się na to, gdy widziałem niektóre pielęgniarki, Polki, jawnie romansujące z rannymi. Uważaliśmy, że personel jest niedbały i nie spełnia swoich obowiązków. Dziś mam na to pogląd. Nawet anioły nie byłyby w tych warunkach w stanie zapewnić każdemu troskliwej opieki szpitalnego. Personel niewątpliwie ugiął się pod nawałem pracy i robił co mógł. Że my, lekko ranni, byliśmy pozostawieni samym sobie, oraz wypoczynkowi, to jest zrozumiałe: rzeczą najważniejszą byli ciężiej ranni, oraz chorzy na choroby epidemiczne i nic dziwnego, że lekarze i pielęgniarki zajmowali się nimi przede wszystkim.

Wszyscy mieliśmy sienniki i miejsca na drewnianych pryzkach, ale bielizny pościelowej nie było. Posiłki otrzymywaliśmy codziennie, ale o najfantastyczniejszych porach: czasem otrzymywaliśmy obiad o drugiej w nocy. Kuchnia nie mogła podołać pracy, gotowała posiłki przez 24 godziny na dobę i rozdawał je kiedy mogła.

Większą część dnia spędzaliśmy nad Wisłą, kąpiąc się w płytkiej łąsce, grzejąc się w słońcu i bijąc nasze na nowo pleniące się wszy. Otrzymaliśmy trochę gazet i z zapartym oddechem śledziliśmy dalszy przebieg zwycięskiej bitwy, kończącej się ostatecznym otoczeniem i zniszczeniem czterech armii nieprzyjacielskich oraz pośpiesznym i chaotycznym odwrotem ich reszty. Mogliśmy wysłać listy.

Przebywałem w tym szpitalu przez tydzień. W ciągu całego tego czasu ani razu nikt nie oglądał mojej rany i nie tykał mojego opatrunku. Dopiero po tygodniu lekko ranni zostali wezwani do opatrunku, który miał charakter superrewizji: szykował się duży transport do szpitala w głębi kraju i zbadano rany, by dokonać selekcji tych, co mają jechać na dalsze, staranniejsze leczenie i tych, co mają być zwolnieni z powrotem do szeregów, lub pozostać przez czas krótki nadal w Kazuniu. Staliśmy w długim ogonku, szybko zdejmowano nam opatrunki, lekarz rzucał okiem na ranę i wydawał orzeczenia, a inny sanitariusz nakładał nowy opatrunek.

Moja rana wyglądała bardzo brzydko. Gdy zdjęto opatrunek, poleciała z niej krew i ropa wzdłuż całego ramienia aż do palców. Widać wytworzyły się w niej jakieś procesy zapalne. Zostałem więc zakwalifikowany do wyjazdu.

Pociąg nasz czekał na stacji w Modlinie. Wyruszyliśmy długim pochodem przez most pontonowy.

Właśnie schodziłem po schodach mojej z mojej kwatery na zbiórkę w dziedzińcu fortu, gdy ku mojej radości spotkałem mojego ojca. Otrzymał on mój list i natychmiast przyjechał. Nie wiedział, że stąd wyjeżdżam, przywiózł mi więc całą wielką paczkę żywności, bieliznę książki do czytania i rzecz najważniejsza: moje cywilne buty.

Wydały mi się one bardzo małe w porównaniu do butów wojskowych. Ale weszły na nogi bez trudu. Nogi mi się właśnie wygoiły. Odpoczynek, brak marszów i codzienne dokładne mycie sprawiły, że opuchlizna z nich zeszła i pęcherze, skaleczenia i wrzody z nich mniej lub więcej poznikwały.

Ucałowaliśmy się z ojcem ze wzruszeniem i radością, - jakby po latach rozstania. Ojciec nawet nie zaszedł do mojej kwatery, bo już wychodziliśmy. Przyłączył się do naszego pochodu.

Pozwolono mu wsiąść razem ze mną do naszego pociągu. Był to pociąg szpitalny, złożony w całości z wagonów osobowych. Jechaliśmy przez Warszawę – gdzieś w Poznańskie. W pociągu tym wraz z kolegami jedliśmy przywiezioną przez mojego ojca żywność.

Był między nami chłopiec, uczeń gimnazjalny z Małopolski, ranny w ciemię i mający całą głowę w bandażach. – Był bardzo wesoły i żwawy i ciągle błaznował. Narzekał jednak że go rana bardzo swędzi. W pewnej chwili zagniewany zdarł sobie bandaż, by się w ranę podrapać. Zobaczyłem, jak ta rana wygląda: miał przestrzeloną czaszkę, kula przebiła mu kość i zaraz obok wyszła, podobno nie uszkodzając mózgu. Miał głowę ogoloną i obie dziurki w czaszce widać było bardzo wyraźnie. Dostał porządną burę i zaraz mu głowę z powrotem zabandażowano. Ale jego niecierpliwość źle się skończyła. Był z nami potem w tym samym szpitalu. Na drugi dzień zrobiło mu się zakażenie, dostał gorączki i stracił przytomność, a w kilka dni potem umarł.

Na dworcu w Warszawie ojciec zaczął czynić starania, bym mógł zostać w Warszawie. W rezultacie cała grupa uczestników naszego transportu, wyłącznie uczniów gimnazjalnych, została zabrana z pociągu i przewieziona do założonego w Warszawie przez jakieś organizacje społeczne „Szpitala ucznia – żołnierza”.

Szpital ten mieścił się przy ulicy Tamka, w dużym gmachu szkolnym. Był urządzony po prostu luksusowo. Był pod opieką różnych komitetów warszawskich i nie zbywało mu na niczym.

Spotkałem tam wielu kolegów z mego pułku, którzy brali udział w walkach pod Nasielskiem i przywiezieni byli stamtąd jako ranni z ominięciem twierdzy modlińskiej. Miedzy innymi, był wśród nich mój dawny przyjaciel z Kielc, Zygmunt Lisiewicz, o którym już wyżej pisałem, mający przestrzelone biodra i naruszony kręgosłup i wskutek tego w dolnej połowie ciała sparaliżowany. Od kolegów tych dowiedziałem się mnóstwa szczegółów o dalszych, ciężkich walkach, jakie pułk nasz przeszedł, a miedzy innymi o śmierci Wieteski w kilka minut po moim odejściu znad Wkry. Od owego czasu zacząłem żałować, że nie było mi danym w dalszych przeżyciach pułku uczestniczyć.

Było nam w szpitalu dobrze, wysypialiśmy się na miękkich łózkach, mieliśmy najlepszego jedzenia wśród, moc ciekawej lektury, wyśmienitą opiekę lekarską, byliśmy wciąż odwiedzani zarówno przez krewnych i przyjaciół, jak przez obcych, ale każdy szpital jest przeżyciem smutnym i także ten szpital przeżywam ze smutkiem. Mimo wszystkich wygód, zbytków i starannej opieki, pełno w tym szpitalu było kalectwa i cierpienia i pełno było umierania. Wojna - to nie zabawa. Nie wszystkim się tak poszczęściło jak mnie; nie wszyscy byli tak ranni lekko. Byłem dookoła otoczony cierpieniem.

Na łóżku koło mnie leżał mój kolega z tej samej szkoły i z tej samej klasy, Rotbart, Żyd, ale dobry polski patriota. Umiał doskonale jeździć konno i wstąpił do ułanów. Dostał serie z karabinu maszynowego w obie nogi, gdy galopował na koniu i miał kości w goleniach i udach obu nóg dosłownie potrzaskane w drzazgi. Wyleczył się z tego całkowicie, szpital dokonał prawdziwych cudów. Składając mu te wszystkie drzazgi razem. Ale można sobie wyobrazić, ile się wycierpiał.

Na tej samej sali leżał także jakiś bardzo młody uczeń gimnazjalny z Brodów, czy też ze Złoczowa. Był ranny w nogę i zrobiła mu się gangrena. Amputowano mu najpierw kawałek nogi, a potem całą. Gangrena przerzuciła mu się na drugą nogę i amputowano mu i te. Ale i to nie pomogło. Gangrena posuwała się w górę wzdłuż tułowia. Jęczał z wyrazem czegoś przeraźliwego w otwartych szeroko oczach. Rozkładał się za życia, - nie można było do niego podejść, taki wydawał z siebie smród. Wezwano telegraficznie jego rodziców i zdążyli przyjechać, - dwoje niemłodych już stroskanych ludzi, jakiś drobny urzędnik i jego cicha, po prowincjonalnemu wyglądająca żona. Usiedli przy jego łóżku i tylko go głaskali po spoconej, udręczonej głowie. Siedzieli tak długo, dopóki nie umarł.

Spędziłem w tym szpitalu około miesiąca. W końcowej fazie raz czy dwa razy mogłem pojechać do rodziców na kilka godzin „na przepustkę”. Wspominam, jaką niesłychaną przyjemność robiło mi chodzenie po ulicach Warszawy i jazda tramwajem z ręką na temblaku i w nowym mundurze, jaki mi rodzice sprawili. Kiedyś w tramwaju jakaś młoda i elegancka pani ustąpiła mi miejsca; byłem z tego niezmiernie dumny.

A tymczasem wojna się kończyła. W bitwie nadniemeńskiej (zaczątej 20. sierpnia) pobite zostały i zmuszone do odwrotu te armie sowieckie, które zdołały się z bitwy warszawskiej wycofać. Dnia 12. października podpisany został rozejm i preliminaria pokojowe.

Nie pamiętam już, kogo dotyczyły pierwsze rozporządzenia demobilizacyjne. Pamiętam w każdym razie, że ja byłem nimi objęty. Być może, że pierwsi zostali zwolnieni żołnierze – uczniowie, po to, by mogli wrócić jak najwcześniej na ławę szkolną.

Musze tu wspomnieć o fakcie, który nie sprawia mi przyjemności, ani nie budzi we mnie dumy. Gdy byłem w szpitalu, moi rodzice, uważając, że wojna się kończy, postarali się dla mnie o przydział w jednym z biur wojskowych w Warszawie. Zostałem przez to biuro „wyreklamowany”. Gdy po zwolnieniu ze szpitala zgłosiłem się na stacji zbornej mego pułku, który stał wtedy gdzieś na Wileńszczyźnie, czekał na mnie rozkaz udania się nie do pułku, lecz do owego biura. W rezultacie, ostatnie dni mej służby wojskowej spędziłem przy maszynie do pisania w owym biurze.

Praktycznie małe to miało już znaczenie: była to już tylko kwestia niewielu dni. Ale jest mi przykro, że moja służba wojskowa skończyła się tak właśnie. Byłbym wolał być zdemobilizowanym w pułku, stojącego w polu na linii rozejmowej a nie z biura wojskowego w stolicy.

Skorzystałem jednak z owego pobytu w Warszawie, by pójść do fotografa i sfotografować się ze zdrowym już ramieniem, tak jak wyglądałem w ostatnich czasach na froncie: boso, w koszuli i spodniach, z pasem i ładownicami, w chłopskiej czapce, z butami zawieszonymi na szyi, nie mam już tej fotografii, ale może się jej odbitki gdzieś płaczą u mojej rodziny w Polsce.

Na demobilizację wezwany zostałem do kadry pułku do Jabłonny. Spędziłem tam kilkanaście dni wśród okropnego chłodu, w czasie zaczynających się, surowych mrozów, w koszarach bez szyb w oknach, bez łóżek, bez sienników, bez koców, w chaosie masowej demobilizacji, której nie mógł sprostać szczupły aparat administracyjny.

Więcej już nigdy potem nie służyłem w wojsku. Służyłem natomiast, i to całkiem nie krótko, w marynarce wojennej. Wprawdzie zdemobilizowany zostałem po drugiej wojnie światowej przez władze angielskie w Londynie w 1949 roku w stopniu kapitana wojska lądowego, ale to był tylko biurokratyczny absurd: w istocie byłem po prostu porucznikiem marynarki.